

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzystojne, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.



**DZIENNIK
COTYGODNIOWY**

Tere-fere-rendum
str. 5



**JEST
INFLACJA**

**NIE MA
INFLACJI**



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

Jarosław Kaczyński: „To jest część naszej wolności i nie damy sobie tej wolności odebrać”. Prezes mówił tak o lesie. I – jak to ma w zwyczaju – nie bardzo wiedział, o czym mówi. Wejście do lasu w Polsce wiąże się przecież co najmniej z narażeniem się na bycie podglądanym. Przy mniejszym szczęściu – na skucie kajdankami lub 5 tys. zł grzywny. Jeśli jednak ktoś ma pecha, to wizytę w kniei może przyplacić życiu.

Władcy lasu

Zdecydowana większość polskich obszarów zalesionych należy do państwa. Znaczący do Kaczyńskiego i kolegów. To oni mianują szefostwo Lasów Państwowych, które dobiera sobie współpracowników według kryteriów koleżeńskich i partyjnych. Polskie prawo dotyczące lasów jest skonstruowane tak, że de facto lasy należą do leśników.

Przepisy stanowią, że stałym zakazem wstępu objęte są lasy stanowiące uprawy leśne do 4 m wysokości, powierzchnie doświadczalne i drzewostany nasienne, ostoje zwierząt, źródła rzek i potoków oraz obszary zagrożone erozją. A ponieważ w niemal każdym lesie są mniejsze lub większe uprawy leśne oraz mieszkają tam dzikie zwierzęta, to leśnicy mogą łapać i karać każdego, kto im się nawinie.

Jakby tego było mało, każdy nadleśniczy może wprowadzić okresowy zakaz wstępu do lasu. Wystarczy, że stwierdzi, że kilka połamanych drzew to uszkodzenie drzewostanów, a zryte przez dziki wrzosowiska stanowią degradację runa leśnego.

Gdyby nie chciało się nadleśniczemu korzystać z tego przepisu, to wystarczy, że zamknie las z powodu zagrożenia pożarowego. To zaś występuje zawsze, gdy przez kilka dni nie pada deszcz.

Nadleśniczy ma też przepis skrojony pod ekologów. Jak stwierdzi, że w jego włościach „wykonywane są zabiegi gospodarcze związane z hodowlą, ochroną lasu lub pozyskaniem drewna”, to zamyka areal, a na każdego, kto chciałby się przywiązać do drzewa, wysyła swoje jednostki zmilitaryzowane – straż leśną.

Jest to umundurowana formacja podległa bezpośrednio nadleśniczemu danego rejonu. Ustawa daje strażnikom prawo do legitymowania osób podejrzanych, a także świadków, czyli każdego. Prawo do nakładania i pobierania mandatów – też. Prawo pozwala im nosić broń palną długą i krótką, korzystać z kajdanek, pałki służbowej, ręcznego miotacza substancji obojętnej oraz przedmiotów przeznaczonych do „obezwładniania osób za pomocą energii elektrycznej”. Na wyposażeniu strażników leśnych znajdziemy także kamizelki taktyczne oraz kuloodporne. Strażnik może użyć środków przymusu bezpośredniego „z użyciem siły fizycznej, przez zastosowanie chwytów obojętnych oraz podobnych technik obrony lub ataku”. A nawet skorzystać z pomocy „psa służbowego”. Jeśli to okaże się niewystarczające, w zgodzie z prawem strażnik może wyciągnąć spluwę i nas zastrzelić. Strażnikom, oczywiście, wolno zatrzymywać podejrzane osoby, a nawet prowadzić samodzielnie śledztwo zakończone przekazaniem sprawy bezpośrednio do sądu, bez udziału policji. Mogą też zatrzymywać i kontrolować samochody. Nie tylko w lesie, ale i w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

Działalność straży leśnej trafia wraz z oskarżonym przed sąd, gdzie trzecia władza może się wypowiedzieć o jej legalności i sensowności. Natomiast nadleśniczy za swoje postanowienia o zamykaniu lasu odpowiada jedynie przed Bogiem i historią. Naprawdę! Zakazy wstępu do lasów wydawane przez nadleśniczych nie podlegają kontroli sądów administracyjnych, bo są „wykonywaniem uprawnień właścicielskich”, a nie działaniem administracji publicznej. Ocenie sądu administracyjnego nie podlega również organizacja ruchu na drogach wewnętrznych, jakimi są drogi leśne.

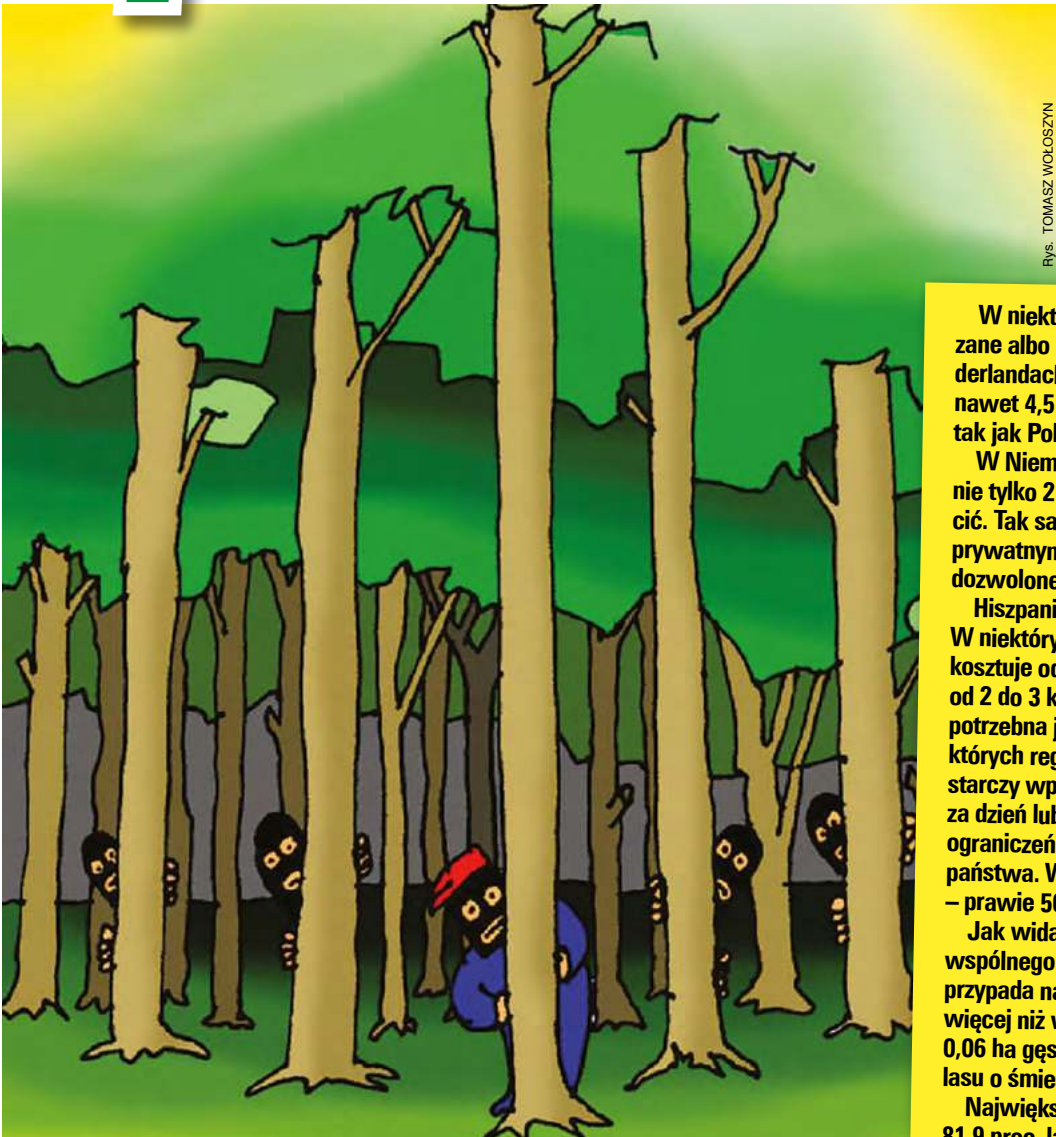
Zakaz wstępu do lasu to nie tylko utrudnienie w zbieraniu jagód czy grzybów dla miastowitych. Taki edykt nadleśniczego blokuje pracę przewodnikom w rejonach turystycznych i odpowiada za pustki w agroturystykach oraz knajpach. Abstrahując już od tego, że decyzje nadleśniczych zapadają z godziny na godzinę, co powoduje, że na sankcje prawne można się narażać w każdym momencie. Las przecież nie jest otoczony ogrodzeniem, a tabliczki o zakazie nie wiszą co 100 metrów.

Zakazane ostępy

Straż leśna i leśnicy mogą karać za wszystko. Najczęściej mandatami w wysokości 500 zł. Ale jak któremuś wpadnie coś do głowy, to kieruje sprawę do sądu, gdzie grzywna wynosi już 5 tys. zł. W lesie nie wol-



W dzikich ostępach ściółki. Wolność i próchnica



Rys. TOMASZ WOŁOZYN

W niektórych krajach europejskich zbieranie grzybów jest zakazane albo ograniczone. W Belgii grzybobranie jest zabronione. W Niderlandach traktowane jako kłusownictwo, a kara może wynosić nawet 4,5 tys. euro. Francja pobiera opłaty za zbieranie grzybów, tak jak Polska za wędkowanie.

W Niemczech, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii można zebrać dziennie tylko 2 kg na osobę. Jeśli zbierze się ich więcej, to trzeba dopłacić. Tak samo w Austrii i Słowenii. Regułą jest, że jeśli na terenie prywatnym nie ma wyraźnego zakazu zbierania grzybów, jest to dozwolone.

Hiszpania z kolei pozwala regulować tę kwestię samorządom. W niektórych regionach potrzebne jest specjalne pozwolenie, które kosztuje od 5 do 15 euro. We Włoszech limity zwykle wynoszą od 2 do 3 kilogramów dziennie na osobę, ale żeby zbierać grzyby, potrzebna jest zawsze licencja. Jak u nas na łowienie ryb. W niektórych regionach należy odbyć kurs i zdać egzamin, w innych wystarczyć wpłata. W Toskanii turysta grzybiarz musi zapłacić 15 euro za dzień lub 40 euro za tydzień. W Skandynawii nie ma żadnych ograniczeń. I to mimo że w Szwecji tylko 23,5 proc. lasów należy do państwa. W Niemczech państwowe jest ponad 52 proc. W Holandii – prawie 50.

Jak widać, ograniczenia w zbieraniu grzybów nie mają nic wspólnego z państwową własnością lasów. Chodzi o to, ile lasów przypada na jednego mieszkańca. W Polsce jest to 0,24 ha. Dużo więcej niż w Niemczech – 0,14 ha. Na jednego Belga przypada 0,06 ha gęstwiny. W Holandii zaś każdy ma do dyspozycji fragment lasu o śmiesznych rozmiarach 20 na 10 metrów.

Największą jednak ciekawostką jest, że w Polsce, w której 81,9 proc. lasów to własność państwa PiS, leśnictwem zajmuje się 73,3 tys. osób. Polska ma raptem 9,5 mln ha lasów. Niemcy o 2 mln ha więcej, a tam branżę leśną ogarnia ledwie 39 tys. ludzi.

no wszak zanieczyszczać gleby i wód. Na uparte go można więc dostać mandat za wyskoki się w lesie, o zrobieniu kupy i wytarciu się chusteczką nie wspominając, bo nawet jak człowiek zdefekuje do wykopanego dołka, to łamie prawo, gdyż rozkopanie gruntu jest zabronione.

Ponieważ niszczenie lub uszkodzenie drzew, krzewów lub innych roślin jest karalne, to jakiegokolwiek wejście do lasu wiążące się z deptaniem mchu, wrzosów czy gałęzi, gdy przedzieramy się przez gęstwiny, może wiązać się z mandatem. Gadać w lesie też nie ma co. Ustawa zabrania hałasowania oraz używania sygnałów dźwiękowych. O tym, co jest hałasem, zdecyduje leśnik.

Seksu na leśnej polance też lepiej nie uskutekniać. Lasy są naszpikowane fotopułapkami, które każdy seks z lubością zamienia w filmik, dowodzący przed sądem tak nieobyčajności, jak i hałasowania w lesie.

Wolność Polaków do lasu nie zakłada też biwakowania poza miejscami wyznaczonymi przez właściciela lasu lub nadleśniczego. Tych zaś w skali kraju jest kilkadziesiąt. A nawet gdy się rozbi-je namiot w takim miejscu, to strażnik może dać mandat bo, sprzęt turystyczny nie może niszczyć drzew ani runa.

Jeśli ktoś chce w lesie wybiegać psa, to też nie wolno. Azor ma być na smyczy, bo jak nie, to mandat.

Palenie ognia w lesie jest zabronione. Papierosy liczy się dla strażników podwójnie, bo raz, że to ogień, a dwa – że zaśmianie.

Zbieranie grzybów to w Polsce ryzyko. Prawo zakazuje niszczenia grzybów oraz grzybni. Czy zebrany grzyb można uznać za zniszczony? To zależy od stanu umysłu strażnika leśnego. Od niego też zależy, czy nie uzna, że to, co się zebrało, nie zawiera owocników grzybów, które są pod ochroną.

Poza tym w lesie można złapać wściekłą albo teżec. Nie wspominając o całym spektrum leśnych przypadłości takich jak: tularemia, babeszjoza, anaplazmoza, hantawirusy, toksoplazmoza, choroby układu oddechowego, choroby skóry. No i trująca wilcza jagoda czy muchomor sromotnikowy.

Za to, że się jakimś cholerstwem w lesie zaraził czy zatrucił, Jarosław Kaczyński nie odpowiada. Ale za służbę zdrowia, która sobie z leczeniem nie poradzi – już tak. Wygląda zatem, że wspominając o leśnej wolności, prezes miał na myśli jej definicję z „Warszawianki”. Tę mówiącą, że „kto umiera – wolnym już”.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Z narodowo-referendalnej biegunki, na którą zapadli pisowcy, najgorszy zapach miała kupa Kaczyńskiego próbującego ubrudzić (od słowa „Brudziński”?) przywódcę wolnej Polski Donalda Tuska, przypisując mu udział w obozie zdrady narodowej. Zaraz za Kaczyńskim najbardziej obrzydliwie defekował Błaszczak. Kucnął, wypiął się i wydalili typową dla siebie konstrukcję wyrazową.

O płocie na granicy polsko-białoruskiej: „Jeśli władzę miałby przejąć Donald Tusk, to możemy być pewni, że ta bariera zostanie zlikwidowana. [...] Dowcipkowano sobie, ośmieszano tę barierę. Mówiono, że jest niepotrzebna. Później sam Donald Tusk mówił, że ona nie powstanie”.

O ruskiej akcji zielonych ludzików z 2014 r.: „Możemy sobie łatwo wyobrazić, że gdyby tej bariery nie było, to byli żołnierze, dziś najemnicy z Grupy Wagnera, mogliby ten manewr wykonać w stosunku do Polski. Łatwo się wtopić w tłum migrantów, którzy forsują granicę”.

O rozkazie likwidacji plotu Donalda Tuska: gdyby był u władzy, zrobiłby to, bo „dostałby takie polecenie od grupy Webera. [...] Ta grupa wciąż kontroluje sytuację w polskiej opozycji, a więc w imię odbudowy relacji niemiecko-rosyjskich, czego symbolem jest Nord Stream, takie polecenie by uzyskał. Wykonałby je z entuzjazmem”.

Zeby po takich tekstach Błaszczak przynajmniej się podtarł... Ale nie, pisowcy nie słyną z zamilowania do papieru higienicznego.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Żołd na uchodźstwie

„Caritas” znaczy „miłość”. Do pieniędzy.

Kiedy kasa wzywa, obowiązkiem księdza jest ją brać. Nawet jeśli pochodzi od samego diabła, czyli Unii Europejskiej. A może nawet zwłaszcza wtedy. Drenując unijny budżet, uszczupla się zasoby wroga i osłabia jego możliwości. A że trzeba się przy tym zaprzeć własnych poglądów, to nio nie szkodzi. Cel uświęca środki, wiara pierze euro.

Kościół kat. chełpi się tym, że jest największą organizacją charytatywną na świecie. Jak wiadomo, na pomaganiu zarabia się najlepiej. Przy tak rozbudowanych strukturach i nieprzebranych zasobach ludzkich gotowych zapierać się za Boga zapłać łatwo jest klerowi organizować akcje pomocowe. Chętnie korzystają z tych usług władze, bo mają dzięki nim problem z dyńki. Gdzie państwo nie może, tam Caritas pośle i fajrant. Nie dziwi więc, że kościelni filantropi zajęli się też uchodźcami. Temat modny i pieniądze płyną na to rzeka, w której żal się nie wykapać. Przecież sam Pan Jezus kazał przyjmować przybyszów.

Tymczasem integracja w wykonaniu Caritas śmierdzi skandalem. I to nie tylko nam, bo nam każda zbitka „Kościół + publiczne pieniądze” tak cuchnie. Cios wyprowadzają turbopatrioci. Zdaniem dr. Stanisława Krajskiego – dawniej współpracownika Rydzikowych mediów, dziś nadającego na YouTube – Caritas Polska za unijne srebrniki realizuje antypolską agendę i w imię poprawności politycznej kastruje historię Polski z elementów niewygodnych, acz dla polskości fundamentalnych.

Krajski wziął na tapetę dokument dotyczący projektu „Kompleksowy system wsparcia w zakresie adaptacji i integracji ze społeczeństwem obywateli państw trzecich przebywających na terenie województwa zachodniopomorskiego”. Pieniądze rzeczywiście płyną na to z UE. 40-stronicowy kon-

spekt pracy z uchodźcami ma pomóc ich przygotować do życia w naszym pięknym kraju. Materiał przygotowany do przeprowadzenia kursu adaptacyjnego zawiera bazowe informacje na temat tego, co i jak się u nas robi: jak szukać pracy i pomocy, do jakiej instytucji czy urzędu o co się zwracać itd. Autorzy materiałów do kursu dali też przybyszom trochę informacji historycznych i społecznych, co by jeden z drugim imigrant wiedzieli, kto po tej ziemi stapał i jakie zasady tu panują. Sęk w tym, że zrobili to zbyt ogólnikowo i delikatnie jak na czułe polskie serce i sumienie dr. Krajskiego. A czasem wręcz kłamliwie, co kościelnej instytucji nie przystoi.

Krajski znany jest jako tropiciel masonerii. Co roku wydaje książki o planach wolnomularzy na kolejny rok, więc gdyby jakiś pan w fartuszu zapomniał, co ma w danym roku robić, to może śmiało zajrzeć do książki doktora. Rozgryźć Caritas to dla Krajskiego bułka z masłem. Wzięli unijne pieniądze i muszą realizować plany twórców nowego porządku świata – dziecko by się domyśliło. Niczym żołnierze karnie wypełniają rozkazy światowej elity, dążącej do zagłady świata, który znamy. Bo jak inaczej tłumaczyć – demaskuje Krajski – powściągliwość w poruszaniu tematów trudnych, niewygodnych dla unijnych aparatczyków? Ot, choćby religia.

z wezwaniem do przeprosin. W piśmie zaznaczono, że jeżeli tego nie zrobi, grozi mu proces kanoniczny. „To ośmieszanie Kościoła” – skomentował Terlikowski. Faktycznie to zupełna beka, ponieważ Terlikowski jako osoba świecka w żadnej mierze nie podlega prawu kanonicznemu. Ks. Łukasz Kadziński w podwarszawskim Teresinie w ramach Fundacji Dobrej Edukacji Maximilianum prowadzi wspólnotę przypominającą sektę. W mediach Terlikowski przedstawił relacje byłych członków tej wspólnoty. Opowiadali oni m.in. o tym, że dochodzi tam do aranżowania małżeństw, stosowania psychicznej i werbalnej przemocy, upokarzania kobiet czy zapraszania mężczyzn do spania w jednym łóżku z księdzem.

➤ Gdy premier Mateusz Morawiecki ogłosił, że trzecie pytanie referendalne będzie dotyczyło unijnego

mechanizmu relokacji i przyjmowania przez Polskę nielegalnych imigrantów, a minister Mariusz Błaszczak zapowiedział, iż kolejne pytanie będzie dotyczyło zasadności powstania zapor na granicy z Białorusią, tenże sam Tomasz Terlikowski opublikował na Facebooku swoją refleksję na ten temat, postępując się biblijnym zapisem: „On wymierza sprawiedliwość sierotom i wdowom, miłuje cudziemca, udzielając mu chleba i odzienia. Wy także miłujcie przybysza, bo sami byliście przybyszami w ziemi egipskiej – woła Mojżesz”. I rozwinął tę myśl: „Trzecie pytanie referendalne to ważny test na chrześcijaństwo Polaków. I smutny dowód, że dla partii władzy Ewangelia, Kościół, a nawet nauczanie Jana Pawła II są tylko politycznym narzędziem, a nie poważnie przyjętą postawą”.

➤ „Ambona nie jest od uprawiania polityki; mówienie wprost: głosujcie na tę czy inną partię jest czymś niedopuszczalnym” – powiedział PAP metropolita łódzki kard. Grzegorz Ryś. Biskupi za to nie polubią Ryśa. I PiS też go nie polubi. Ale Ryś sobie, a proboszczowie z ambony sobie.

➤ Inaczej niż Ryś myśli ks. prof. Paweł Bortkiewicz, profesor nauk teologicznych specjalizujący się w zakresie teologii moralnej: „Myślę, że trzeba byłoby dzisiaj z równą mocą akcentować, iż katolik, który głosuje na formację polityczną promującą aborcję, promując ideologię gender czy ekologizm, sprzeciwia się prawdziwie o Bogu Stworcy. Zatem prawdziwie o Bogu, który jest Panem życia, który stworzył człowieka mężczyzną i kobietą, a nie urojonymi orientacjami seksualnymi, który przeprowadził w ogrodzie Eden eksperyment, w wyniku którego człowiek przekonał się, że pośród świata zwierząt nie znajduje dla siebie partnera, a zatem jest podmiotem pośród przedmiotów”. I dalej: „Nadchodzące wybory dla katolików są testem chrześcijańskich sumień – sumień pewnych i prawdziwych, czyli uformowanych na prawdziwej Ewangelii i Magisterium Kościoła. Ceną złych wyborów będzie nie tylko określona opcja polityczna, ale ceną tych wyborów może stać się złamanie własnych sumień. A to jest najgłębsza samozagłada człowieka”.

wybrał KLECHA

Wszyscy w Polsce wiedzą, że tutaj rządzi Kościół kat. A taki, przypuśćmy, azjatycki muzułmanin przyjeżdżający do nas za chlebem od Caritasu się tego nie dowie. Tzn. dowie się, ale za mało dosadnie. We wspomnianym konspie pod hasłem „religia” czytamy bowiem, co następuje: „Większość obywateli Polski to katolicy należący do Kościoła rzymskokatolickiego. Znaki i symbole chrześcijańskie są powszechnie obecne w przestrzeni publicznej. Często można spotkać krzyże w szkołach czy urzędach. Ważnym obszarem działania Kościoła jest praca charytatywna na rzecz ubogich i potrzebujących pomocy. Największą instytucją charytatywną Kościoła w Polsce jest Caritas Polska. Obok społeczności katolików istnieje także wiele innych wspólnot chrześcijańskich, gminy żydowskie oraz wspólnoty muzułmańskie, grupy hinduistów czy buddystów”. Krajskiemu mało. Uważa, że sprowadzenie roli Kościoła kat. do funkcji organizacji charytatywnej to ukłon w stronę globalistów i realizacja polityki papieża Franciszka, który idzie z nimi ręką w rękę. Franciszek – obok Unii i ONZ – to winowajca tej propagandy „antypolskiej przez przemilczanie”.

Swoją drogą to rzeczywiście – jak na standardy, do których przywykliśmy – mało ofensywny tekst autorstwa kościółkowych. No, Jędraszewski na pewno go nie pisał. Być może rzeczywiście unijny bat nie pozwolił każno-dziejom rozwinąć skrzydeł, zbyt dewocyjny tekst mógłby grozić utratą grantu. Za pieniądze nawet fanatycy są w stanie się ucivilizować. Krajskiemu najwyraźniej poskąpili eurocenta, bo tropi i potępia.

Jeszcze większe pretensje ma do Caritasu dr Krajski za dobór dat, które każdy ciapaty, na te ziemie przybysz, poznać powinien. Autor konspektu wiedział, jak się mecenasom przypodobać. Charakteryzując krótko zawarcie unii lubelskiej z 1569 r., napisano:

„W jej ramach powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów (zjednoczenie Polski i Litwy), a co w istocie było państwem trzech dużych narodów – Polaków, Litwinów i Rusinów, oraz wielu mniejszych narodów – Żydów, Tatarów, Niemców, Ormian, a nawet Cerkiewców, Persów i szeregu innych. Współcześnie wielu historyków widzi w unii lubelskiej prawzór Unii Europejskiej”. Patryk Jaki dostałby zawału.

Dobór dat – interpretuje dr Krajski – może wywołać w przybyszu wrażenie, że Polska to kraj słaby, bezpłciowy, bez solidnych fundamentów, a zatem łatwy do podbicia. „Jaki z tego obraz Polski się wyłania?” – pyta doktor i odpowiada: „Taki sobie”. My powiedzielibyśmy, że jest to lapidarny, lecz obiektywny opis naszego kraju, ale Krajski Polskę swą widzi ogromną. „Pominięte zostało to, co wskazuje polityczna poprawność; to, co by się nie podobalo uchodźcom; no i wszystko to, co katolickie. A ten program realizują w ośrodkach Caritas, więc powinny wprowadzać jakiś katolicki program”. Krajskiemu zabrakło na liście ważnych dat, np. bitwy pod Grunwaldem, hołdu pruskiego, bitwy pod Kircholmem, bitwy pod Oliwą, bitwy pod Chocimem czy wreszcie pod Wiedniem – czyli wszędzie tam, gdzie tłukłiśmy Niemca, Szweda albo Turka – w domyśle: dzisiejszy Zachód i muzułmanów. Historia Polski jest pokazana tak, jak zrobiliby to Niemcy albo Rosjanie – twierdzi Krajski. „Z tego integracji nie będzie. Z tego będzie najwyżej lekceważenie i pogarda uchodźców w stosunku do Polaków” – podsumowuje. A zatem uchodźcy zintegrują się bardziej, niżby się pan doktor spodziewał. Pogarda to przecież jedna z najbardziej polskich tradycji.

„Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?” – chcą zapytać pisowcy w referendum. Mamy nadzieję, że Kościół kat. zorganizuje odpowiednią akcję informacyjną, by wierni głosowali na tak. I płot na granicy z Białorusią też warto zlikwidować. Leży to przecież w żywotnym interesie Caritas Polska. Ktoś te napływowe tysiące musi zintegrować. Za tysiące euro.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

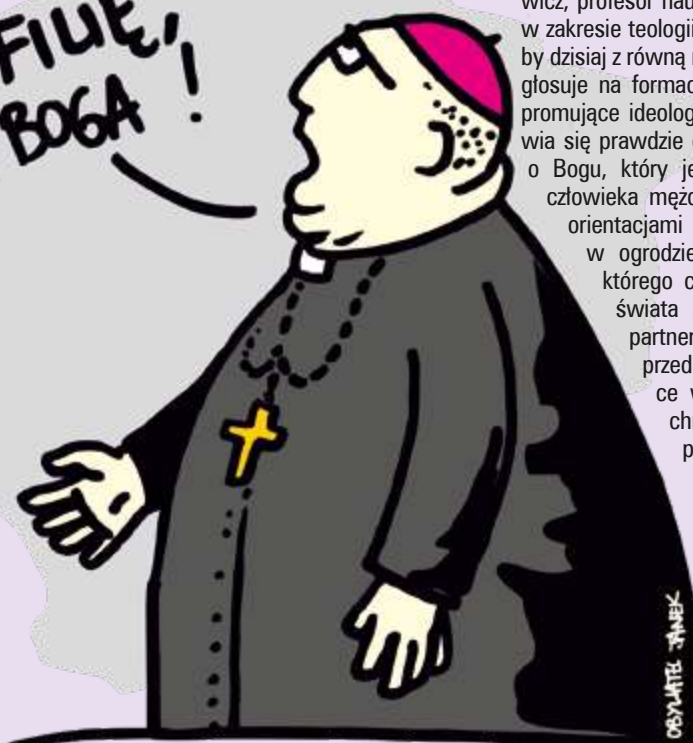
WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Były salezjanin ks. Michał Woźnicki od dawna jest bohaterem sieci i naszej rubryki. Wszystko za sprawą jego arcycoryginalnych wystąpień, które zamieszcza także w internecie. Miał okazję wypowiedzieć się m.in. na temat Maryli Rodowicz: „Proszę popatrzeć na pyziałą twarz pani Rodowicz, a jeszcze bardziej na opuchniętą twarz pani Kozidrak. Dwa podgardla – jakby biskupem była. Jeśli to nie jest obżarstwo, to być może bolesny skutek szczepień? Efekt uboczny? [...] Minęło kilkadziesiąt lat i widzimy te postarzałe gwiżdżeczki – jedna ruszająca się niczym czarownica, druga na szczudłach, ale cały czas wiedzą, że innym ludziom podobają się te ich części ciała, które podobały się 30 lat temu”. Od kilku miesięcy książd Woźnicki mieszka w Baranowie w gminie Tarnowo Podgórne. Tam przy centralnym placu miasteczka otworzył organizację Dom Bogomyślny. Mieszkańcy od początku go tam nie chcieli. Teraz wpadli na pomysł. Chcą, żeby gmina zorganizowała koncert Maryli Rodowicz wprost pod oknami ks. Woźnickiego.

➤ Ks. Mirosław B., były proboszcz z Bojana – małej kaszubskiej miejscowości pod Gdynią – skazany za odurzenie wódką i molestowanie przez długi czas 15-latkę, został uhonorowany tablicą pamiątkową za zasługi na rzecz parafii. Dziś regularnie odprawia msze. Ks. Mirosław B. był proboszczem parafii św. Jadwigi Królowej i dyrektorem ds. budownictwa sakralnego archidiecezji gdańskiej. Budował miejscowy kościół, ale remontował też rezydencję ówczesnego metropolity gdańskiego abp. Sławoja Leszka Głódzia w Gdańsku-Oruni.

➤ Tomasz Terlikowski, publicysta katolicki – niegdyś zapiekły katotalib, który w ostatnich latach zajął pozycję zupełnie nieradykalne pod wpływem rozmów z ofiarami molestowania kościelnego – po opublikowaniu tekstów na temat działalności ks. Łukasza Kadzińskiego otrzymał pismo od jego adwokata

JEŚLI ISTNIEJESZ,
ZALEGALIZUJ
PEDOFILIE,
NA BOGA!



Tere-fere-rendum

Kiedy komuna szukała jakiejś innej niż radzieckie czołgi legitymizacji swojej władzy po drugiej wojnie światowej, wpadła na genialny w swej prostocie pomysł. Przeprowadziła w 1946 r. referendum. Pytania ułożono tak sprytnie, że każda osoba przy zdrowych zmysłach powinna odpowiedzieć trzy razy „tak”. Bo czyż ktoś mógłby być przeciwko utrwaleniu zachodnich granic kraju na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

PiS, chcąc utrwalić swoją władzę w 2023 r., wpadł na podobny do Bieruta pomysł, tyle że, jak to u kaczych, zamiast trzy razy „tak” oczekuje odpowiedzi w postaci cztery razy „nie”. Bo Prezes i jego ekipa jest zawsze przeciw: Niemcom, liberalom, lewactwu, gejom, feministkom i Unii Europejskiej. Błędem byłoby jednak, na złość, głosowanie cztery razy „tak”. Co zatem począć z tą kwadraturą koła?

Czy popierasz wyprzedz państwowych przedsiębiorstw?

To zabawne – i znając pisowskich tłuków, niezamierzone, bo po freudowsku podświadome – że to pytanie bardzo wyraźnie przypomina to, które zadano w 1946 r.: „Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?”

Przypominać Kaczyńskiemu, że w przeszłości głosował za prywatyzacją polskich przedsiębiorstw, to za łatwe, jak zabrać dziecku cukierka. Prezes ma na to jedną odpowiedź, a brzmi ona: „mądrość etapu”. Kiedy stanowiska w spółkach kontrolowanych przez państwo zajmowali jego przeciwnicy polityczni, prywatyzacja była pożądana. Kiedy zaś te synekury trafiają w ręce pisowców, to nie tylko nie należy oczekiwać, że nastąpi jakakolwiek prywatyzacja: za PiS-u mamy do czynienia z procesem odwrotnym. Czyli upaństwowieniem (metodą transakcji rynkowych) prywatnych przedsiębiorstw. Bo kaczyści są bardzo rodzinni – ich żony, córki, kochanki i inne pociotki muszą gdzieś pracować, a jakoś – zupełnie nie wiem czemu – na wolnym rynku nie radzą sobie najlepiej i są co najwyżej wójtami Pcimia...

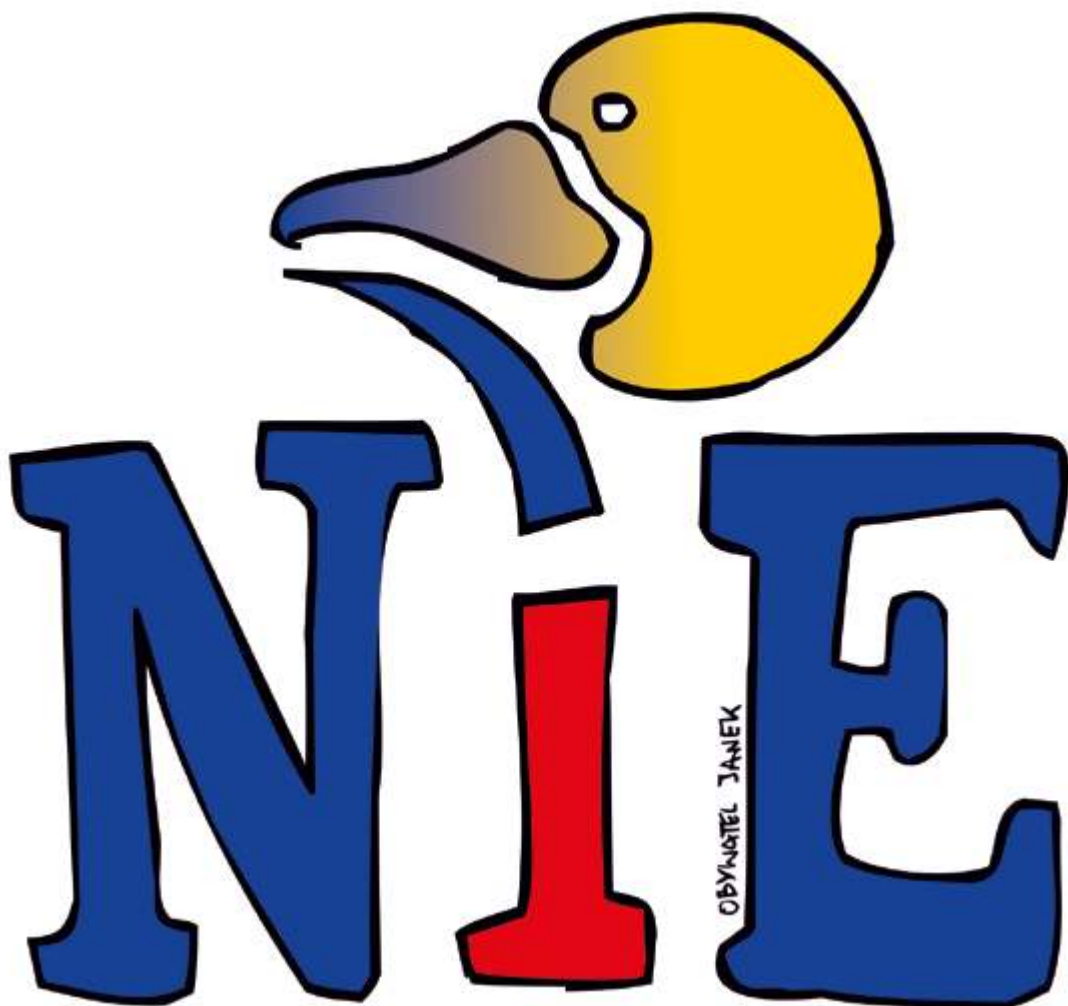
Gdyby firmy państwowe wzorcowo traktowały swoich pracowników, cechowały się odpowiedzialnością ekologiczną itp., to byłabym przeciwko prywatyzacji. Ale tak nie jest – to przechownalnie działaczy prawicy, którzy w najlepszym razie chują robią, w najgorszym – szkodzą, bo przecież są zwykłe niekompetentni.

Czy jesteś za podwyższeniem wieku emerytalnego, wynoszącego dziś 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn?

Przywrócenie niższego wieku emerytalnego przez PiS po zdobyciu władzy w 2015 r. przysporzyło tej partii głosów. I głosy ekspertów, biadających nad niskimi emeryturami, brzmią faryzejsko. Bo odróżnijmy pracę od roboty, które są diametralnie odmiennymi doświadczeniami zawodowymi.

Ja mam pracę – mówię do studentów, słucham ich, stukam w klawiaturę laptopa – moi koledzy i koleżanki, którzy wykładają na uniwersytetach, chcieliby (na co im się nie pozwala!) pracować choćby do 90. roku życia. Ale ktoś, kto kopie rowy, tyra na budowie, sprząta kible, marzy tylko o dniu osiągnięcia wieku emerytalnego. I rzuceniu harówki

PiS chce, aby w referendum ludzie bezprawnie używali nazwy naszego tygodnika – „NIE”.



najszybciej, jak się da. W przypadku kobiet często wiąże się to z koniecznością świadczenia nieodpłatnej pracy opiekuńczej nad zniezdolnionymi członkami rodziny lub wnukami.

No i pamiętajmy o jeszcze jednym elemencie, który trzeba wziąć pod uwagę, a prawie wszyscy go ignorują. Polacy wedle wszelkich dostępnych statystyk (np. OECD) w ciągu roku przepracowują znacznie więcej godzin aniżeli ludzie w krajach, gdzie wiek emerytalny jest wyższy. Jeśli zatem policzyć liczbę godzin przepracowanych w trakcie kariery zawodowej, to Polacy pracują więcej, nawet przy niższym wieku emerytalnym.

No i kolejna ważka kwestia – niska jakość rodzinnej opieki zdrowotnej. Jak się ma lat 50. czy 60., naturalne jest – przynajmniej w Polsce – że przy łóżku leży sarta lekarstw, a wiele osób zмага się a to z nadciśnieniem, a to z podwyższonym poziomem cukru czy cholesterolu. A rząd PiS wydaje hojną ręką kasę na najdroższą na świecie broń, ale nie czyni niczego – powtarzam: niczego – by skrócić kolejki do lekarzy i zatroszczyć się o zdrowie seniorów.

Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?

To pytanie, które jest klasycznym kur(w)iozum. Słowo „tysięcy” jest nieprecyzyjne – mogą to być albo 2 tys., albo 999 tys.

To, czy ktoś jest „nielegalnym imigrantem”, czy „legalnym uchodźcą”, regulują odpowiednie traktaty międzynarodowe, których Rzeczpospolita jest sygnatariuszem. Polska łamie je notorycznie.

Obrzydliwym skurwysynstwem jest, że nasz kraj od przynajmniej końca XIX w. wysłał miliony swoich córek i synów, którzy byli (często „nielegalnymi”) imigrantami, do USA, Ameryki Południowej czy zachodniej Europy. Jeśli mogę pokusić się o odrobinę prywaty, przypomina to mego ojca, który w latach 80. wyjechał do Austrii i pracował – przez kilka lat na czarno – na budowie. Dziś szermuje hasłem „Polska dla Polaków”, nienawidzi imigrantów i UE, co nie przeszkadza mu pobierać sowitej austriackiej emerytury...

Nie ma żadnego „przymusowego mechanizmu relokacji”, a tym bardziej „narzucanego przez biurokrację europejską”.

Ale kluczowe jest określenie regionu geograficznego w postaci Bliskiego Wschodu i Afryki. W skrócie: Arabów, muzułmanów i czarnych nam nie potrzeba. To rasizm czystej wody, powszechny, ale przez to nie mniej ohydny. Może jednak pisowcy spuszczać z tonu, gdy do Polski – w obliczu spadku liczby powołań – zawitają księża z Afryki, co może zresztą mieć pozytywne skutki dziewięć miesięcy po bliskim spotkaniu trzeciego stopnia między czarnym księdzem a białą pobożną wierną...

Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?

Jeśli wsłuchać się w pisowskie wynurzenia o barierze, to można odnieść wrażenie, że od Białorusi dzieli nas coś przypominającego Wielki Mur Chiński, nieprzepuszczalny i nad wyraz szczelny, chroniący nas przed dzikimi hordami „nielegalnych imigrantów” (patrz poprzednie pytanie), a także Grupą Wagnera, która nigdy nie będzie w stanie go sforsować.

To, że „płot Błaszczaka” jest dziurawy jak durzłak, jest oczywiste dla każdego, kto czyta doniesienia medialne, od miesięcy ukazujące, jak iluzoryczna jest to ochrona. Ale kosztująca grube setki milionów konstrukcja graniczna pełni funkcję głównie propagandową i psychologiczną. To jest, niczym w „Misiu” Barei, bariera, która „odpowiada żywotnym potrzebom całego społeczeństwa, to jest bariera na skalę naszych możliwości, która otwiera oczy niedowiarkom i mówi: patrzcie, to nasze, przez nas wykonane i to nie jest nasze ostatnie słowo”.

Z plotem na wschodniej granicy jest dokładnie tak jak z tym kosztującym kilka stów kremem pod oczy dla kobiet – ma zapewniać dobre samopoczucie, bo przecież problemu (jakkolwiek zdefiniowanego) nie usuwa. I usunąć nie może. Z wielu względów, także negatywnych zmian klimatycznych, zaczęła się globalna wędrówka ludów – żadne bariery, mury itp. tego nie zmienia, bowiem zdesperowani ludzie nie mają nic do stracenia...

4 × TAK

Referendum to perfidna gra znacznymi kartami. Jedynie, co można sensownego zrobić, to je zbojkotować. I pokazać środkowy palec późnym wnukom Machiavellego z siedziby PiS na Nowogrodzkiej. Ale nie znaczy to, że sama idea referendum jest bez znaczenia. Myślę, że mimo wszystko Prezes bawi się w półśrodk, ceregiele i powinien – zgodnie z najlepszymi mechanizmami manipulacji – zadać bardziej dosadne pytania, na które warto poznać odpowiedzi.

Czy popierasz bycie młodym, pięknym i bogatym?

Czy chcesz, by wódka i piwo były tańsze?

Czy chcesz, by Twoim sąsiadom wiodło się gorzej niż Tobie?

Czy chcesz, by politycy odpierdolili się od zwykłych ludzi i dali im w spokoju żyć, nie wydając milionów na bzdurne referenda?

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Podczas drugiej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy miały miejsce dwa kryzysy, z jakimi Polska nie zmagala się nigdy wcześniej. Pandemia o takiej skali i reakcja świata na nią to pierwsze takie doświadczenie w historii ludzkości. [...] Także rosyjska inwazja na Ukrainę pokazała, że Polska utrzymała się w tej strefie starcia między Rosją a Zachodem, uniósł ją utrzymanie milionów uchodźców, uratowała ciężkim sprzętem broniący się kraj i wykorzystała moment próby, by stać się dysponentem bezpieczeństwa regionu. [...] Dziś rząd PiS musi się mierzyć z wrogością Berlina, Brukseli, z niemieckimi jurgielnikami i rosyjskimi rublochlupami, dezinformacją TVN, Onetu i „Gazety Wyborczej”, operacją „Śluza”, obstrukcją ze strony senatu i samorządów, słowem władze Rzeczypospolitej prowadzą kraj w stanie permanentnych napięć i wojenek.

Jakub Maciejewski, wPolityce.pl, 11 sierpnia

■ Wyobraźmy sobie trzecią kadencję PiS – już bez pandemii, z zakończoną wojną nad Dnieprem,

z bezradnym na wyborczy werdykt Polaków Scholzem czy Weberem, z opozycją na kolejne cztery lata bez możliwości rozgrabiania i wyprzedawania majątku narodowego i z pełną świadomością – Polska jest na kursie trwałym, a nie tymczasowym – o, tak, trzecia kadencja partii Jarosława Kaczyńskiego to wizyta politycznego grabarza w biurach poselskich totalnej opozycji.

dalej Maciejewski

■ Katolicy i komuniści posiadają swoje instytucje – skrajnie odmiennie. Katolicy zostali obdarzeni przez Jezusa Chrystusa łaską członkostwa w Jego Mistycznym Ciele – a więc w świętym, powszechnym i apostołskim Kościele. Komuniści zaś wymyślili sobie własną świecką świątynię, jaką była partia komunistyczna, która miała prawo do pseudonieomylnego nauczania i której należało zawsze zachowywać wierność oraz oddawać hołd. Kościół nie mógł dawniej, nie może dziś oraz do skończenia świata zaakceptować komunizmu. Partia komunistyczna nigdy nie mogła zaś zaakceptować Kościoła. Nie ma tu bowiem pól do kompromisu – obie te organizacje skazane są na walkę.

Krystian Kratiuk, PCh24.pl, 15 sierpnia

■ Dewiza narodowa „Bóg, Honor i Ojczyzna”, która przyświecała Polakom walczącym o wolność Oj-

czyzny z bolszewicką nawałą w roku 1920, dziś znów jest na sztandarach naszej armii. Jest też w sercach polskich żołnierzy, którzy stacjonują w jednostkach wojskowych. W imię tej dewizy walczą na mi-



sjach i bronią naszej wschodniej granicy przed hordami imigrantów, których naganiają do Polski władze Rosji i Białorusi.

Anna Białous, PCh24.pl, 15 sierpnia

■ Summa summarum i tak chłopcem do bicia pozostaje, często wyimaginowany, tradycyjny model, który w oczach emisariuszy ideologii spod znaku woke przybiera postać katolicyzmu.

Aleksander Majewski, wPolityce.pl, 11 sierpnia

■ Wykorzystując rzeczywistość po 1989 roku do wolności zgromadzeń w Polsce, ludzie z Lewicy nakręcają środowisko LGBT. Wpadli na pomysł, żeby antywartości, które niszczą naszą kulturę, promować w przestrzeni społecznej i kulturowej. W związku z tym od lat odbywa się tzw. parada równości; tak zwana, bo z równością ona nie ma nic wspólnego, ona prowokuje.

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej archidiecezji częstochowskiej, Radio Maryja, 11 sierpnia

■ Co roku była sytuacja związana z profanacjami. Zwłaszcza upodobał sobie ci lewacy spod tzw. tęczy naszą Królową Polski – Matkę Bożą, umieszczając w jej aureoli – i nie tylko oczywiście – gejowską tęczę.

dalej Dąbrowski

WYBRAŁ KLECHA

Cyniczna Sójka

Katarzyna Sójka, nowa pani minister od zdrowia, podzieliła się onegdaj z nami sentencją iście papieską: kobiety niestety umierały, umierają i umierać będą; a błędy medyczne się zdarzały i zdarzać się będą. Nic dodać, nic ująć! Trudno się nie zgodzić z filozoficzną zadumą nad losem kobiet pozbawianych możliwości przerwania ciąży zagrażającej życiu, podobnie jak nie sposób nie przytaknąć „oj, tak, tak” naszemu drogiemu papieżowi Franciszkowi, gdy zapytany o film TVN24 „Franciszkańska 3” (zbieżność imion przypadkowa), opowiadający o tym, jak Karol Wojtyła upychał po sutych parafrach swoich podwładnych księży pedofilów, odrzekł, kiwając głową, że w tamtych czasach tak się robiło. Panie, no rób pan, co chcesz, ale tak się robiło i widocznie tak już musiało być.

Z zachowaniem proporcji można w tym kontekście wspomnieć jeszcze słynną z seksownej grzywki i ciętego języczka wicepremier Elżbietę Bieńkowską, która na zarzuty, że w pociągach srożą się mróz ze szronem, odrzekła: „Sorry, taki mamy klimat”. Pani Bieńkowska niechcący wpiła się w dzieje polszczyzny, uzupełniając jej i bez tego bogate zasoby nowym powiedzonkiem. Chwała jej za to.

Niestety, pani minister Sójka nie może liczyć na wdzięczność pokoleń użytkowników naszej mowy ojczystej, za to dała nam kolejny powód do

zastanowienia się nad dziwnym zjawiskiem, jakim jest uchylanie się od sądów potępiających zło w imię jakiejś metafizycznej prawdy o niemożliwo-

ści usunięcia go ze świata. No bo normalny człowiek, gdy usłyszy, że kobieta zmarła, bo ze strachu przed psami gończymi, napuszczonymi przez kler, nie usunęło na czas płodu z jej brzucha i czekano, aż sam obumrze, po prostu się na to oburza. Mówi, że to skandal, że to się nie może powtórzyć itd. Nie mówi „zdarza się”, „trudno”. Po prostu nie zgadza się na to, co się wydarzyło.

Pani Sójka patrzy jednakże na sprawę ze stoickim spokojem. Zło się zdarza i zdarzać się będzie... Jak można się domyślić, akceptuje ten stan rzeczy w swoim resorcie i nie zamierza nic z tym robić. I chyba wcale się tego nie wstydzi. Skąd to się bierze? Jakim cudem osoba odpowiedzialna za polskich pacjentów okazuje publicznie taką obojętność na ich los?

Żeby to zrozumieć, trzeba sięgnąć do głębszych pokładów naszej niełatwej kultury. Otóż sądzić należy, iż pani doktor Sójka odebrała coś, co nazywa się nieco na wyrost wychowaniem katolickim. Inaczej mówiąc, od przedszkola do Opola indoktrynowana była wątpliwej klasy retoryką, przez Sedes Apostolica w jakimś szale skromności i pokory nazwaną „nauczaniem”. A „nauczanie” w rzeczowej sprawie jest z grubsza takie, że trzeba z absolutną pokorą przyjmować „wyroki boże” i absolutnie się im nie sprzeciwiać.



W pojęciu wychowawców pani minister zdrowia Sójki jest gdzieś w zaświatach taki w sumie niezbyt sympatyczny pan, zwany Panem Bogiem, który ma różne kaprysy i co rusz o coś się wkurza, i wtedy ściąga na człowieka różne nie-szczęścia.

I nie ma na to żadnej rady. Trzeba z tym żyć. A że ten Pan Bóg posługuje się jako wykonawcami swych wyroków grzesznymi ludźmi, to również i z tym należy się pogodzić i pozostać biedaków w spokoju. Widocznie Bóg chciał powołać do siebie ciężarną

Dorotę, leżącą w szpitalu w Nowym Targu, posługując się do tego maluczkimi lekarzami, i nic nam do tego.

Ten bogobojny fatalizm wygląda jak pospolity cynizm. W swej istocie jest jednak czymś głębszym. Bez wątpienia wypowiedź Sójki była cyniczna, tyle że nie w sensie prymitywnej szydery, lecz w sensie swoistego metafizycznego smutku, który filozofowie nazywają świadomością nieszczęśliwości. Poza tym, że ta wypowiedź była po prostu głupia, to jednocześnie ujawniła głęboki nihilistyczny podkład chrześcijańskiej moralności. Niezbądane są wyroki boskie... Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Bezsilność i rezygnacja unieważniają nazywają świadomością nieszczęśliwości. A tam, w Nowym Targu, czynny był przecież sam Bóg poprzez swoje przykazania i przykazań tych strażników. Ludzkie prawa muszą przed tą potęgą ustąpić w pokorze i bojaźni.

Nie mamy żadnych wątpliwości, że pani Sójka będzie godną następczynią całej plejady pisowskich ministrów zdrowia. Arogancja, niekompetencja i korupcja to święte prawa „służby państwowej” w wydaniu partyjnych biurokratów i pomniejszych karierowiczów na usługach prezesa Polski. Mały cynizm Sójki to tylko echo wielkiego perwersyjnego cynizmu, jakim każdego dnia epatuje nas zawzięty frustrat, któremu pół narodu oddało władzę nad sobą i nad drugą tegoż narodu połową. Tylko że cynizm Jarosława Kaczyńskiego nie ma zapewne żadnych religijnych źródeł, jest raczej zwykłym zepsuciem charakteru.

JAN HARTMAN

Bożkowicie polscy

Będiesz miłował polityka swego, jako on siebie miłuje.

Najważniejszym festiwalem w Polsce w tym roku nie jest Opole czy inny Sopot, ale festiwal narcyzów zwany kampanią wyborczą do parlamentu. Ulice miast, miasteczek i wsi, ekrany telewizorów i media społecznościowe wypełnią się – a biorąc pod uwagę nielegalną, acz nachalną propagandę polityczną rządzących, robioną na rachunek państwowych firm, już wypełniły – zbawcami i (rządziej) zbawczyniami narodu (nie społeczeństwa), prowadzącymi nas ku świetlanej przyszłości.

Jeśli wierzyć politykom, to gdziekolwiek spojrzeć, tam mąż stanu, wybitny fachowiec, znawca problemów szarego człowieka. Osoba równie uczciwa, co kompetentna. Czasem, wzorując się na byłej premier Szydło, dobrotliwa i ciepła matka narodu, taka sejmowa Katarzyna Dowbor, kobieta do rany przyłóż i wymarzona ciocia. Niemniej, jeśli spojrzeć trzeźwo i naukowo, narcyzm pojedynczych polityków jest głęboko zakorzeniony w narcyzie społeczeństwa, co jest również bolesną prawdą w przypadku Polaków. W końcu aż 87 proc. rodaków, wedle zeszłorocznego sondażu, jest dumnych z dziejów narodowych, czyli koniec końców ze swoich przodków i siebie, ludzi tworzących tu i teraz historię Rzeczypospolitej.

Pośród znawców – a zwłaszcza znawczyń – narcyzmu w globalnej psychologii polityki porządne miejsce zajmują postacie o polskich nazwiskach. Przypadek? Nie sądzę...

Miłość

Agnieszka Golec de Zaval, Kinga Bierwiaczonek i Paweł Ciesielski w ciekawy sposób analizują związki kolektywnego (zbiorowego) narcyzmu z teoriami spiskowymi. Znajdują twarde dowody na potwierdzenie tezy na ich pokrewieństwo. Przede wszystkim postawy wrogości międzygrupowej sprzyjają myśleniu kategoriami spiskowymi, bo – skoro nasza grupa jest wspaniała – to inne, zazdroszcząc nam wielkości, wciąż coś knują. Nie jest to bynajmniej niewinne (choć głupie) przekonanie. Zdaniem powyższych autorów: „Zbiorowy narcyzm i teorie spiskowe mogą również współwspółwodzić, ponieważ służą do koordynowania niedemokratycznych przywódców i ich wyborców. Tworzą zagrażające środowiska, które usprawiedliwiają przymus, przemoc i niedemokratyczne rządy”.

Myślenie narcystyczne i spiskowe zarazem doskonale unaocznia jedno z pisowskich pytań re-



WETERAN WALKI
Z PRYZWOITOŚCIĄ

ferendalnych, które będą towarzyszyć wyborom: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?”. To żerowanie na najniższych instynktach Polaków dobrze wychodzi partii rządzącej, kierowanej przez Prezesa z Żoliborza, który lata temu już wyjaśnił, że kolorowi uchodźcy roznoszą pasożyty. Nie ma, rzecz jasna, żadnego „przymusowego mechanizmu relokacji narzucanego przez biurokrację europejską”, ale rodzimy zbiorowy narcyz nie czyzy sobie jakichś obcych z dalekich stron, ponieważ boi się o własną tożsamość, podobno zagrożoną przez uchodźców z Iraku czy Bangladeszu.

Jako kilkulatka uczyłam się – w rzekomo komunistycznym PRL-u – „patriotycznego” (a naprawdę nacjonalistycznego) wierszyka: „Kto ty jesteś? Polak mały”. Z niego dowiedziałam się, że mieszkam „między swymi”, „w polskiej ziemi”, która jest „mą Ojczyzną”, zdobytą „krwią i blizną” i nakazuje mi szczere kochanie i wiarę w Polskę, której winnam „oddać życie”. W szkole w latach 80. na

apelu musiałam śpiewać: „Ukochany kraj, umiłowany kraj. Ukochane i miasta, i wioski”.

Jak widać, komuna też ma swoje za uszami w sferze utrwalania narodowego narcyzmu...

Dobro

Narcyzi niekiedy mają przebliski autoironii, jak Jarosław Kaczyński, kiedy mówi: „We mnie jest czyste dobro”. Albo jego brat Lech, który po wygraniu wyborów prezydenckich w 2005 r. rzekł przed kamerami, zwracając się do swego bliźniaka: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania”.

Prezes Kaczyński jest skądinąd idealnym przykładem tego, że – wydawałoby się, iż oparta na nader wątych podstawach, potwierdzonych kolejnymi przegranymi wyborami – wiara w samego siebie, własną ponadczasową nieomyślność może zapocentrować. Uzupełnia ją naga żądza władzy, która nawet gdy nie budzi szacunku, to przynajmniej budzi strach – a jak wiemy od Thomasa Hobbesa, strach jest solidniejszym fundamentem sprawowania rządów, miłość bowiem jest z samej swej natury chwiejna i ulotna, gdyż łaska

ludu na pstrym koniu jeździ.

Na tym tle narcyzm Zbigniewa Ziobry, grającego „najtwardszego faceta w mieście” i próbującego – jak dotąd bezskutecznie i oby tak już zostało – wykreować się na następcę „dzielnego szeryfa” i „pogromcy przestępców” Lecha Kaczyńskiego, świeci światłem odbitym.

Narcystyczne inklinacje, choć innego rodzaju, reprezentuje Donald Tusk. On kreuje się na takiego dobrego wujka, co lubi z chłopakami poharatać w gale, jest jednak wytrawnym administratorem, który troszczy się o to, żeby w kranach była ciepła woda. A legitymizację do odsunięcia PiS-u od władzy daje mu kariera europejska, czyli to, że na salonach Brukseli czuje się jak ryba w wodzie, jest znany i przewidywalny. Tusk jawi się jako zbawca na białym koniu, traktowany przez TVN czy „Gazetę Wyborczą” jako ostatnia deska ratunku przed trzecią z rzędu kadencją kaczyzłów.

Nowe pokolenie narcyzów najlepiej reprezentuje gwiazdorz social mediów, zwłaszcza TikTok, konfederata Sławomir Mentzen. To idol

kuców, plotący, co mu ślina na język przyniesie, bez ładu i składu.

Mówi to, co jego wyborcy chcą usłyszeć, a kiedy jakiś dziennikarz przyprze go do ściany, zadufany w sobie Sławomir M. zawsze może – i często to robi – powiedzieć, że przecież żartował, o czym wie każdy człowiek inteligentny.

Lider skrajnej prawicy wciąż podkreśla coś, co w bardziej normalnym kraju byłoby dyskwalifikujące dla polityka: że jego kancelaria prawna skupia się na umożliwianiu swoim klientom unikania płacenia podatków. Wiadomo, że każdy narcyz jest dumny ze swego sprytu. Na Malcie Mentzen, nawiązując do filmu „Czas Apokalipsy”, napisał, że „uwielbia zapach niepłaconych podatków o poranku”: „Raz nasi zakładali tu jedną spółkę przez dwanaście godzin. Kiedy było po wszystkim, nie zapłaciliśmy ani jednego euro podatku”.

Wiara

W jakimś istotnym sensie tego słowa każdy polityk, czyli osoba chcąca rządzić innymi, wpływać bezpośrednio i pośrednio na ich życie i – jak pokazują zgony niedoszłych matek, którym lekarze nie chcieli wyskrobać płodów – śmierć, w sposób prawie nieunikniony musi być narcyzem. Kiedy jest zbyt inteligentny, by bezgranicznie wierzyć we własną sprawczość i przywództwo – jak prezydent USA Jimmy Carter na przełomie lat 70. i 80. – szybko zostaje wyrolowany przez cwaniaka nieznanego, czym są wątpliwości, wahania i niepewność, jakim był niedysiejszy aktor filmów klasy B, Ronald Reagan.

Być może dużo racji ma jeden z moich ukochanych zespołów z czasów nastoletniego, anarchopunkowego Włochaty ze Szczecina, który śpiewał: „Tylko skurwiel chce władzy nad innymi”. Ale dopóki ktoś będzie musiał sprawować władzę nad innymi, to z dużym prawdopodobieństwem będzie to człowiek o osobowości narcystycznej.

Jak pisał w klasycznym tekście sprzed dokładnie 30 lat słynny psycholog polityki Jerrold M. Post, „prawdopodobnie nie jest przesadą stwierdzenie, że gdyby osoby o znaczących cechach narcystycznych zostały usunięte z szeregów osób publicznych, szeregi te zostałyby niebezpiecznie przerzedzone, ponieważ wyższe szczeble rządu [...] są wypełnione »odnoszącymi sukcesy narcyzami«. W końcu na jednym poziomie narcyzm to nic innego jak skrajna pewność siebie, a połączenie pewności siebie i umiejętności jest tym, co tworzy sukces”.

Tylko, kurwa, dlaczego polscy polityczni narcyzi są tak ślepo pewni siebie, a – poza omamianiem wyborców i napychaniem kieszeni swoich, szwagra i znajomych królika – nie posiadają żadnych innych umiejętności, zwłaszcza zaś tych użytecznych społecznie?

KATARZYNA KOENIG

Grzybnia z chujnią

Sporty narodowe rodaków: idziemy do lasu!

Splądowała atrakcja partyjnych pikników – Jarosław Kaczyński – strzykając jadem, zapadał ostatnio stary szlagier PiS-u pod tytułem „Bruksela zakazuje nam wejścia do lasów”. Wiemy, że teoria ta koło prawdy nie leżała – ot, dinozaur wydał ostatni ryk na meteoryt, który leci.

Można by zarzucić Kaczyńskiemu, że ma inne powody do dumy niż bystrość, ale nie bardziej mylnego! Niczym chłopiec z zapalkami w suchym zagajniku wzniecił pożar w kłatkach piersiowych wielu rodaków – wszak właśnie rozpoczął się sezon grzybowy i choć Polak to grzybiarz równie z pewnością, co chujowy, grzybobranie to nasz sport narodowy i basta.

Największy wysyp leśnych skarbów przypada na jesień i mimo że do 15 października daleko, warto już dziś zajrzeć do lasu (jeśli jeszcze dzięki Suwerennej Polsce nie popłynął do Chin) i odświeżyć wiedzę mykologiczną – żeby zimą pod kielicha nie trafił się trujak.

Jako że stara i wytrawna ze mnie grzybiara, zapraszam na krótki kurs rozpoznawania groźnych gatunków grzybów.

Sromotnik bezwstydnny (*Phallus impudicus*) – naukowa nazwa grzyba nawiązuje do jego kształtu. Nazwa rodzajowa wywodzi się od greckiej nazwy prącia (w łacynizowanej formie *phallus*). Polska nazwa sromotnika to staropolski wyraz oznaczający osobę okrytą hańbą lub siejącą zgorzienie. Sromotnik ze względu na swój cuchnący zapach i nieprzyjemny smak dla ludzi jest niejadalny, natomiast muchy zwabione pokusą przepysznej posiłku o zapachu padliny zlatują tłumnie, obsiadają go niczym czarna chmura, zjadają śluz i rozprzestrzeniają jego zarodniki. Grzyba można spotkać od maja do listopada. Występuje we wszystkich typach lasów. Jego kształt wzbudza ciekawość, ale nie warto podchodzić bliżej. To zupełnie jak **Jarosław Kaczyński** – prezes partii matki. Zwyczajowo zwany naczelnikiem państwa, potocznie – penisem (choć język ulicy używa wulgarniejszego określenia »chuj«) na kaczych łapach. Ze względu na zakrawające na kpinę okoliczności zajmuje się redystrybucją majątku narodowego. Osobnik o aparycji powiatowego demona tak krótki, że nie rzuca cienia. Gatunek chroniony kordonem policji. Przyciąga horrorem partyjnej samodyscypliny i obietnicą otrzymania spółki skarbu państwa, rozprzestrzeniając popleczników na wszystkich szczeblach administracji. Można go spotkać na cyklicznych jarmarkach miesięcznie smoleńskich.

Czubajeczka czerwonopochwowa (*Lepiota ignivolvata* Bousset & Joss. ex Joss.) – gatunek grzybów z rodziny pieczarkowatych. Kapelusz o średnicy 2,5 cm, początkowo półkulisty, potem łukowaty do płaskiego, z tępych wybrzuszeniem. Barwy bladodrożowej z brązowymi, czerwono-brązowymi lub fioletowobrązowymi łuszczykami. Miąższ biały, zapach przyjemny. Śmiertelnie trujący. Mylona z gąską zielonką. Podobnie jak **Mateusz Morawiecki** – premier. Hybryda *Homo sapiens* i mitomana. W sytuacjach potencjalnego zagrożenia zakopuje się odwołaniem w piasku. Gatunek najczęściej spotykany w kieszeniach polskich obywateli. Jego intensywny drenaż finansowy zdziśiałkował liczebność polskiego podatnika, czyniąc tę odmianę gatunkiem zagrożonym. Rodzimy krwiopicja o charakterystycznym długim nosie.

Muchomor jadowity (*Amanita virosa* Bertill.) – gatunek z rodziny muchomorowatych. Kapelusz o średnicy 10–12 cm, początkowo owalny, później

stożkowo dzwonkowaty, na koniec lekko wypukły. Miąższ biały, kruchy, nie zmienia koloru po przełamaniu. Smak łagodny, zapach duszący, nieprzyjemny. Gatunek śmiertelnie trujący. Mylony z czubajką kanią. Całkiem jak **Zbigniew Ziobro** – minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednym. Początkowo występował pod hasłem obrony ofiar przestępstw, za jedno z ich podstawowych praw uważając surowy wyrok dla sprawcy, w sprzyjających rozwojowi toksyczności politycznej warunkach mutował, robiąc z napastników ofiary, a ofiarom z dupy jesień średniowiecza. Pisowski lokaj o szacie zewnętrznej podstarzałego bobasa, oprotezowany zapalczywością funda-

podrażnieniem i zapaleniem śluzówki układu pokarmowego. Wypisz wymaluj **Jacek Sasin** – minister aktywów państwowych. Gatunek wysoce szkodliwy, przemieszczający się w ramach wędrówek żerowiskowych. Bodźcem do rozpoczęcia migracji Sasina są sytuacje kryzysowe i klęski żywiołowe. W trakcie swych wędrówek wykazuje się niezwykle upośledzonym zmysłem strategicznym, powodując pogłębianie szkód. Składa fałszywe obietnice, wprowadzając w błąd otoczenie. Potrafi znaleźć korzyści dla siebie kosztem szeroko pojętych dobrych zasad. Powoduje zaburzenia w płynności finansowej Poczty Polskiej.



mentalisty. Beneficjent społecznej nagrody z dziedziny matematyki za empiryczne udowodnienie, że zero podniesione do potęgi dalej pozostaje zerem. Występuje wszędzie tam, gdzie może eksponować fałszywą moralność i stosować stalking emocjonalny.

Maślanka wiązkowa (*Hypholoma fasciculare*) – gatunek grzybów z rodziny pierścieniakowatych. W polskim piśmiennictwie opisywana jako łysiczka trująca, opieńka fałszywa. Bywa mylona z opieńką miodową. Kapelusz barwy siarkowożółtej, środek kapelusza pomarańczowy. Miąższ cienki i elastyczny, w smaku bardzo gorzki. Po uszkodzeniu nie zmienia barwy. Powoduje zaburzenia trawienne spowodowane

Mleczaj wełnianka (*Lactarius torminosus*) – gatunek grzybów należących do rodziny gołąbkowatych. Znany pod nazwami rydz koński, rydz psi, rydz kosmaty. Kolor wełnianki jest łososioworóżowy, podobnie jak blaszki zbiegające na trzon. Po uszkodzeniu z grzyba wypływa białe bardzo gorzkie mleczko. W stanie surowym zawiera substancje, które mogą powodować nudności, biegunkę i wymioty. Mylony z mleczajem rydзем. Tożsamy z **Przemysławem Czarnkiem** – ministrem edukacji narodowej. Organizmem prymitywnym barwy buraczanej. Aktywny od września do czerwca, do rozwoju potrzebuje podłoża fermentu katolicko-narodowego. Żyje w ścisłej symbiozie z Tadeuszem Rydzykiem i Rodziną Radia Maryja. Rozprzestrzenia się sukcesywnie, zajmując tkankę polskich środowisk naukowych, oddziałując na nią w niepożądany sposób.

Introdukuje obcy gatunek patogenu uwielbienia papieskiego. Zakłóca pracę układu nerwowego, przyczyniając się do powstawania chorób układowych, m.in. nadciśnienia tętniczego.

Pieczarka karbolowa (*Agaricus xanthodermus*) – nazywana pieczarką cuchnącą lub żółtawą. Trujący grzyb, którego spożycie może powodować silne zaburzenia układu trawiennego, a nawet doprowadzić do śmierci. Jego charakterystyczną cechą jest silny zapach przypominający karbol, który wzmacnia się w trakcie gotowania – dzięki temu jest go łatwo rozpoznać. Pieczarka karbolowa najchętniej wybiera żyzne gleby, bogate w szczątki organiczne i próchnicę. Owocnik może przybierać barwę białą lub kremową, u starszych okazów przybiera kolor białawy lub brązowy. Mylona z pyszną pieczarką łąkową. **Anna Moskwa** – minister klimatu i środowiska. Samica terytorialna, pasyżuje na terenach dotkniętych katastrofą ekologiczną oraz w zespole polityczno-krajobrazowym „Bij Niemca”. Zagrożenie środowiska naturalnego maskuje, przybierając barwy partyjnej narracji PiS. W wyniku swojej działalności gatunek klasyfikowany jako rakotwórczy i powodujący liczne mutacje organizmów. Region, w którym gniazduje Anna Moskwa, uchroni za niedotknięty inflacją.

Piesterzenica kasztanowata (*Gyromitra esculenta*) – gatunek grzybów z rodziny krążkowatych. Przez niedoświadczonych grzybiarzy bywa mylona ze smardzem jadalnym. Głowa nieregularnie kulista, silnie mózgowato pofałdowana. W środku główka jest pusta, poprzerastana i kremowa. Zawiera lotną substancję toksyczną gyromitrynę, która powoduje zaburzenia żołądkowo-jelitowe, uszkodzenia wątroby, nerek, śledziony, szpiku kostnego i wzroku. **Łukasz Mejsa** – poseł na sejm. Osobnik otoczony grubą warstwą buty i chamstwa. Przedstawiciel antagonizmowej formy współżycia. Żywicielami bezpośrednimi Mejsy są nieuleczalnie chore dzieci, wyludzone środki unijne i polscy podatnicy. Przy czym jest to pasożytnictwo obligatcyjne (bezwartunkowe) – niezbędne do życia pasożyta. Czas trwania relacji antagonizmowej między Mejsą a jego żywicielami określają zarzuty prokuratorskie i kadencja na sejm. Szacuje się, że u Mejsy w procesie ewolucji politycznej nastąpił całkowity zanik moralności i uniwersalnych zasad postępowania. Głowa pusta, silnie pofałdowana na zewnątrz.

Podobnie jak grzyby, politycy mogą być szkodliwi nie tylko dla społeczeństwa, ale i dla środowiska. Politycy prawicy nie są jadalni, ale bywają trujący i tak jak wiele gatunków grzybów mogą wywoływać halucynacje (np. że w Polsce panuje dobrobyt i rządzą ludzie prawi i sprawiedliwi).

Bądźcie ostrożni!

IDALIA DUBICKA



Rys. JANUARY

REKLAMA

Powstanie warszawskie
podzieliło „polski Londyn”

Prof. August Grabski
PRL – wielki skok cywilizacyjny

Ryszard Strzelecki-Gomułka
Jak wyjść z cienia ojca

Prof. Łukasz Łuczaj
Seks na łonie natury

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Prezydent wybrany
Prezydent „Jurek Łukasz”

Prof. August Grabski
PRL – wielki skok cywilizacyjny

Ryszard Strzelecki-Gomułka
Jak wyjść z cienia ojca

CZY POLAK MOŻE BYĆ OPTYMISTĄ?

DOŻYŻNA

INFLACJA

PiS uczy się jeść pałeczkami.

Brzydkie słowo na „k”

Kiedy polscy dziennikarze wspominają o współczesnych Chinach, zawsze dodają „komunistyczne” i wzdychają znacząco. Przekonując, że ten przymiotnik wyjaśnia wszystko ich odbiorcom i zwalnia od myślenia. W rzeczywistości jedynie ich ogłupia.

Baza

Sprawdzając, ile jest realnego komunizmu w komunistycznych Chinach, zaczniemy po marksistowsku. Od zdiagnozowania bazy, czyli ustroju gospodarczego. Światowi ekonomiści i politolodzy od lat toczą spór, czy gospodarka chińska jest bardziej kapitalistyczna, czy ciągle komunistyczna. Dylemat ów trafnie rozstrzygnął prof. Grzegorz Kołodko w opublikowanej we wszystkich najważniejszych językach świata pracy „Czy Chiny zbawia świat?”.

Zdefiniował ustrój gospodarki Chin jako „chinizm”. Oryginalną formę wymykającą się zachodnim ekonomicznym i politologicznym klasyfikacjom.

Rzeczywiście w Chinach jest inaczej niż państwach „demokratycznego” Zachodu. Na wsi nie ma w pełni prywatnej własności ziemi rolnej. Zawsze, nawet w czasach cesarstw, były tam wieloletnie dzierżawy. Cesarz należące do niego ziemie rękami swych urzędników nadawał zasłużonym. A buntownikom odbierał. Nie było tam powszechnego w kapitalistycznej Europie „świętego prawa własności”.

Dzierżawioną ziemię od tysięcy lat uprawiano w Chinach kolektywnie, bo ryż nie daje plonów w gospodarstwach indywidualnych. Chińskie rolnictwo zawsze wymagało wielkich państwowych systemów nawadniania, czyli pracy zbiorowej. Przypominających trochę te ze starożytnego Egiptu. Czemu polscy dziennikarze nie określają systemu farańskiego komunistycznym?

Przemysł w Chinach jest w większości w rękach prywatnych. Jednak strategiczne jego gałęzie są kontrolowane przez państwo. Zrealizowano tam model postulowany dziś przez PiS.

Szkoły podstawowe na wsi w Chinach są płatne. Służba zdrowia też. W miastach bywa różnie. Nauka i służba zdrowia formalnie są bezpłatne, ale nie dla wszystkich wtedy dostępne. Najlepsze mają służby mundurowe, urzędnicy państwowi, ludzie nauki i mediów.

Oni też mają swoje systemy emerytalne. Dziś trwa w Chinach dyskusja o podwyższeniu wieku uprawniającego do pobierania emerytur.

Chłopi chińscy oraz wielomilionowy sektor drobnej przedsiębiorczości pozbawieni są systemu emerytalnego. Pracują przez siedem dni w tygodniu od rana do wieczora. Zarabiają i oszczędzają na przyszłość. W zamian płacą niskie podatki. Mają system postulowany u nas przez lidera Konfederacji Sławomira Mentzena.

Nadbudowa

Również system polityczny Chin nie pasuje do standardów europejskiego „komunizmu”. Postulowanego kiedyś na zachodzie Europy i nieudolnie tworzonego w ZSRR. Mimo to jednoznacznie kojarzącego się u nas z komunizmem.

Dzięki temu przymiotnik „komunistyczny” traktowany jest w polskiej publicystyce jako obelga.

Ale choć w Chinach rządzi partia zwąca się komunistyczną, trudno znaleźć jej podobieństwa do nieboszczki KPZR albo żywotnej jeszcze Komunistycznej Partii Grecji. KPCh liczy obecnie ponad 90 mln członków. Dominują w niej elity polityczne, naukowe, kulturalne i finansowe. Przynajmniej kilka tysięcy chińskich milionerów i miliardów należy do KPCh. Chętnych do partii jest więcej niż wyznaczałyby co roku miejsc. Tym KPCh przypomina prestiżowy uniwersytet.

KPCh rządzi państwem chińskim nieprzerwanie od 1949 r., najdłużej ze wszystkich innych partii na świecie w historii XX i XXI w.

Przy okazji warto przypomnieć, że w Chinach oprócz KPCh działa legalnie i współrządzi jeszcze osiem innych partii zwanych demokratycznymi. W Chinach formalnie nie ma systemu monopartyjnego, uważanego w Europie za fundamentalną cechę komunizmu.

W Chinach nie ma też zachodniej demokracji parlamentarnej. Jest system wschodniej, autorytarnej merytokracji. Rządów elit i fachowców. Władzę KPCh zdobyła zbrojnie po wieloletniej wojnie domowej. Utrzymała ją dzięki merytokracycznym rządóm. Jako jedyna partia na świecie wydobyla z biedy ponad 800 mln ludzi. Stworzyła nową gospodarkę, czyniąc z Chin drugą co do wielkości ekonomię w świecie.

Również ideologicznie Komunistyczna Partia Chin nie przystaje do zachodnich standardów ideowych. W Chinach propaguje się teraz myśli prze-

wodniczącego Xi, chiński nacjonalizm, konfucjanizm, kult przewodniczącego Mao – ojca zjednoczonych Chin – oraz tradycyjną chińską kulturę. Wszystko podane w sosie marksistowskim.

Dla europejskiego politologa kult Konfucjusza i przewodniczącego Mao, kiedyś ojca rewolucji kulturalnej zwalczającej konfucjanizm, w głowie się nie mieści. Podobnie jak jednoczesny kult nowych technologii i kultury starochińskiej. Określany jako część „socjalizmu z chińskim charakterem”.

Standardowy europejski marksista zwykle wtedy protestuje. Uważa, że chiński marksizm nie jest prawdziwym marksizmem, tylko zlepkiem różnych, czasem sprzecznych nurtów ideowych.

Ale gdyby Karol Marks wstał z grobu, zapewne ucieszyłby się z tak twórczego wykorzystania jego dorobku. Zawsze w sporach o „czystość marksizmu” cytował frazę z „Fausta” Goethego: „Wszelka, mój bracie, teoria jest szara, zielone zaś jest życia drzewo złote”.

Chińscy marksiści, tworząc dziś swój marksizm, bliżsi są staremu Marksowi niż dzisiejsi Europejcy ortodoksi. Ale na pewno nie jest to ideologia nazywana popularnie w Polsce komunizmem.

Praktyka

KPCh nie jest też partią ideowo misjonarską. Nie narzuca innym, nie propaguje swojego modelu rozwoju. Tworząc w Chinach „socjalizm o chińskim charakterze”, nie zmusza innych państw do jego adaptowania i kopiowania. Lansuje zasadę, że KPCh szanuje inne rozwiązania ideowe i oczekuje szacunku i uznania dla swoich.

Dlatego kiedy Chiny udzielają pożyczek państwom afrykańskim i południowoamerykańskim, to nie postępują jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i USA. Nie warunkują udzielania kredytów oczekiwaniami zwolnienia więźniów politycznych czy demokratyzacji systemu politycznego. Nie recenzują przeprowadzonych tam wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Od kredytobiorcy oczekują jedynie terminowych spłat kredytów i otwarcia jego gospodarki na towary i inwestycje z Chin. Czy wolny globalny kapitalistyczny rynek to komunizm?

Dlaczego zatem KPCh nadal zwie się partią komunistyczną, a nie chociażby komercyjną?

„Partie polityczne są jak butelki”, wyjaśnił mi znajomy chiński politolog. „Wy, ludzie Zachodu, proponujecie swym wyborcom coraz to nowe butelki, tłukąc demonstracyjnie stare. A my do starej, nadal dobrej butelki wlewamy nowe treści”.

Warto przypomnieć, że

władza PiS utrzymuje dobre relacje z KPCh i „komunistycznymi” Chinami od 2015 r.

W październiku 2016 r. ówczesny wiceminister spraw zagranicznych Jan Parys zaprezentował w Sejmie RP pryncypia polityki PiS wobec Chin. Ogłosił, że władze PiS wyrzekły się propagowania w państwach azjatyckich europejskiego modelu demokracji parlamentarnej, zachodniego systemu wartości obywatelskich, a nawet doktryny obrony praw człowieka. Zadeklarował, że Polska rządzona przez PiS będzie współpracowała ze wszystkimi państwami Azji i Pacyfiku, które akceptują podstawowe standardy międzynarodowe, czyli Kartę ONZ. Określił też wtedy Chińską Republikę Ludową jako państwo postkomunistyczne. Bo Chiny w jego ocenie „rozliczyły się radykalnie z komunizmem, niż zrobiono to w Polsce”.

Dlatego współpraca z „postkomunistyczną” Chińską Republiką Ludową i KPCh nie budzi już w antykomunistycznych szeregach PiS ideowego obrzydzenia. Czemu polscy dziennikarze uparcie zwą Chiny komunistycznymi, a wspominając USA, nie dodają kapitalistyczne?

PIOTR GADZINOWSKI

PS Chińczycy wynaleźli kompas. Europejczycy przejęli go i wiedzą, gdzie jest północ. Nie wszyscy wiedzą, że po chińsku kompas to *zhinan zhen*, czyli „igła, która pokazuje południe”. Dlatego my w Europie, patrząc na kompas, szukamy północy, a Chińczycy południa. Warto to wiedzieć, zanim zaczniemy opisywać Chiny wyłącznie zachodnimi pojęciami.

Psychopatologia Putina

Narcyz na narcyzie i narcyzem pogania – tak najkrócej można podsumować świat współczesnej polityki światowej. Z punktu widzenia ufoludków trudno powiedzieć, kto jest większym narcyzem w skali globu – były (i nie daj Boże przyszyły) prezydent USA, skrajny bufon Donald Trump, Xi Jinping, uprawiający kult jednostki nieznanym w Chinach od czasów Mao, Narendra Modi, trzymający Indie w żelaznym uścisku hinduskiego nacjonalizmu połączonego ze złodziejskim kapitalizmem. Ale jak wiadomo, cokolwiek by się działo za siedmioma górami i siedmioma rzekami, nasza chata z kraja, więc warto poświęcić nieco uwagi narcyzmowi Władimira Putina, z którego ponurymi skutkami muszą sobie radzić Ukraińcy.

Z przymrużeniem oka patrzeć można na te wszystkie przesiąknięte mniej lub bardziej tandetnym freudyzmem amerykańskie filmy, w których okazuje się, że nasze życie zostało nieuchronnie zdeterminowane przez wydarzenia z dzieciństwa. Ktoś tam zabijał jako dorosły, bo miał do szkoły pod górkę i takie tam. Nie lekceważyłabym jednak psychicznej sfery jednostki, zwłaszcza w sytuacji, gdy po wielu latach wraca ona do jakichś wydarzeń z dzieciństwa, które są dla niej istotne. Pamięć ma charakter konstrukcyjny, toteż fakt, że daną sytuację możemy przywołać kilka dekad później, coś mówi o danym człowieku.

Jak zauważają Peter K. Hatemi i Zoltán Fazekas w tekście naukowym sprzed kilku lat, narcyzi kierują się różnymi pobudkami. Jedne osoby wyszukujące innych lub przejawiające agresję wobec nich z powodu narcyzmu robią to bardziej z powodów instrumentalnych, związanych ze statusem, dominacją, władzą i osobistymi

korzyściami. Inne jednostki narcystyczne, dotknięte bardziej jadowitym narcyzmem, mogą zachowywać się w podobny sposób, ale robią to raczej z powodu problemów emocjonalnych związanych z poczuciem własnej wartości i traumatycznymi doświadczeniami z dzieciństwa. Wielu badaczy sugeruje, że to przypadek obecnego kremłowskiego satrapy.

Thomas Forsberg i Christer Pursiainen w tekście opublikowanym na łamach pisma „Global Society” w 2017 r. twierdzą, że Putin najwyraźniej dorastał w poczuciu, że ma jakiś wewnętrzny defekt, dręcząc się myślami, że jest w nim coś, co jest wadliwe i wstydlive. Rozwinął więc obronną tożsamość, aby ukryć swój podświadomy wstyd i udowodnić, że zamiast tego jest zwycięzcą. To, czym dokładnie była ta trauma, pozostaje niejasne, ale w nieautoryzowanych biografiach Putina zawsze podkreśla się, że jego punktem wyjścia były bieda i słabość fizyczna oraz fakt, że musiał walczyć o awans wśród łobuzów, którzy zaludniali podwórko, gdzie spędzał czas jako dziecko.

Będąc chucherkiem, mały Putin starał się trzymać z miejscowymi chuliganami. Jak wspominał jego przyjaciół z lat dziecińczych: „Jeśli ktokolwiek w jakikolwiek sposób go obraził, Wołodia natychmiast

skakał na niego, drapał go, gryzł, wyrwał mu włosy – robił wszystko, by nie pozwolić nikomu na poniżenie go w jakikolwiek sposób”.

W październiku 2015 r. tak powiedział w kontekście wojny w Syrii: „Nawet 50 lat temu ulice Leningradu nauczyły mnie jednej rzeczy: jeśli walka jest nieunikniona, idź i walcz pierwszy”.

Putin, określając siebie samego z przeszłości jako „bandytę”, wstąpił do najbardziej przerażającej w Związku Radzieckim instytucji: KGB. Był coraz silniejszy, zaczął trenować różne sporty walki. Nie oznacza to bynajmniej, że stał się mniej impulsywny i gwałtowny, lecz raczej bardziej pewny siebie i spokojniejszy, bo nie obawiał się fizycznej konfrontacji. Zamiłowanie do siły stało się jego znakiem rozpoznawczym w polityce, gdy zaczął kierować Federacją Rosyjską.

Niektórzy badacze, w tym najsłynniejsi zachodni analitycy charakteru rosyjskiego dyktatora Fiona Hill i Clifford G. Gaddy, przekonują, że cierpi on na zaburzenie osobowości, w rzeczywistości bowiem



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ma kilka niezgodnych z sobą tożsamości. „Introwertyk o wysokim poziomie dominacji”, człowiek, do którego kluczem jest pojęcie pogardy – tak piszą o nim znawcy. Inni dowodzą, że Putin cierpi na zaburzenia autystyczne, wpływające na wszelkie jego decyzje. Świadczyć o tym mogą choćby jego trudności z zachowaniem spokoju w sytuacjach społecznych i niski próg reaktywności.

Wszystko to wiąże się z narcystyczną potrzebą wiernopoddanego wielbienia siebie i Rosji. Bo Putin, niczym francuski Król Słońce, zwykł sądzić: „Państwo to ja”. Z tego względu na kilka miesięcy przed agresją na Ukrainę napisał tekst o swoim pragnieniu bliskości między oboma krajami, które – jak naciskał – są „jedną całością”. A jego celem jest Ukraina „wolna, bezpieczna i dostatnia”.

Nietolerujący sprzeciwu narcyz z Kremla postanowił to osiągnąć w specyficzny, nie liczący się z nikim i niczym poza sobą samym sposób: nalotami na ludność cywilną i masowymi zbrodniami wojennymi.

K.K.

Stalin dał, Putin zabiera

Gdy ucichną armaty.

W Arabii Saudyjskiej odbyło się dwudniowe spotkanie 40 państw, początkowo szumnie zapowiadane jako konferencja pokojowa, później skromnie – jako forum do zaprezentowania krajom Południa ukraińskich warunków pokojowych przewidujących całkowite wycofanie się Rosji z konstytucyjnego terytorium Ukrainy w celu pozyskania ich poparcia dla tych warunków. Po wahaniach do spotkania tego dołączyły Chiny z prezentacją swojego planu pokojowego, który prezydentowi Zełenskiemu się nie podoba, gdyż przewiduje natychmiastowe zawieszenie broni i po uciszeniu armat rozmowy na temat pokoju. Po spotkaniu zapadła o nim zadziwiająca cisza medialna. Prawdopodobnie dlatego, że góra urodziła mysz. Nikt nikogo nie przekonał i nie pozyskał, chociaż Chiny ogłosiły „poszerzenie międzynarodowego konsensu”, nie precyzując, w jakiej sprawie. Doradcy prezydenta Ukrainy skarżyli się, że ich delegacja miała kłopoty z wyjaśnieniem krajom Południa, iż przedmiotem wojny, którą Ukraina toczy z rosyjską napaścią, nie jest terytorium, lecz wartości demokratyczne i poszanowanie prawa międzynarodowego. W rzeczy samej trudno do tego sceptyków przekonać, gdy sam prezydent Zełenski deklaruje, że wstępnym warunkiem rozmów pokojowych będzie wycofanie się Rosji z całości ukraińskiego terytorium, łącznie z Krymem. Dla wielu państw stojących w tym konflikcie po stronie Ukrainy, nawet dla Stanów Zjednoczonych, to sprawa dyskusyjna. Historycznie bardzo skomplikowana.

1

Ukraina od Doniecka na wschodzie do Lwowa na zachodzie po raz pierwszy w dziejach znalazła się we wspólnych granicach administracyjnych dopiero w Związku Radzieckim po śmierci Stalina (1953 r.). Znany historyk ukraiński z satysfakcją komentował to „zjednoczenie ziem ukraińskich”, zaznaczając, że z rewindykacji ukraińskich pozostaje już jedynie Zakerzonie, czyli ziemia chełmska i sanocka. Tak wyglądał nacjonalistyczny terytorialny maksymalizm ukraiński. W rzeczywistości nigdy nieureczywistniony.

W połowie XVI w. w ramach Korony polskiej, po przekazaniu jej przez Litwę przed zawarciem unii lubelskiej czterech województw „ukraińnych”: podlaskiego, wołyńskiego, braclawskiego i kijowskiego, znalazła się praktycznie cała Ukraina. Zachodnie Podole znajdowało się już od czasów Kazimierza Wielkiego w Koronie w postaci województwa ruskiego ze stolicą we Lwowie. Włączone do Ukrainy w czasie tworzenia Związku Radzieckiego ziemie Zagłębia Donieckiego nigdy przed tym ukraińskie nie były. Podobnie jak północne wybrzeże Morza Czarnego, zostały zdobyte i skolonizowane przez Rosję. Modne przekonanie, że tak daleko na wschód granice administracyjne Ukrainy przesunął Lenin, jest fałszywe. W istocie to Stalin i wspierający go Dzierżyński w czasie tworzenia Związku Radzieckiego w 1922 r. upychali do republik narodowościowych regiony o populacji rosyjskiej. Przyswiewały im cele rusyfikacyjne, silna mniejszość rosyjska miała od wewnątrz wspierać rusyfikację lansowaną przez moskiewskie centrum. Ciężko już chory Lenin sprzeciwił się tej polityce i wszedł w konflikt ze Stalinem i Dzierżyńskim. Zapowiedział nawet, że na najbliższym zjeździe partii będzie wnioskować o zaniechanie tworzenia ZSRR. W tym zjeździe jednak już nie uczestniczył. Zdażył tylko podyktować artykuł w tej sprawie, którego publikację zablokował Stalin. Ukazał się on dopiero w 1956 r. W rezultacie w granicach Radzieckiej Ukrainy znalazło się 8 mln Rosjan (prawie 20 proc. populacji Ukrainy).

2

Po zakończeniu zimnej wojny rozpadły się w Europie państwa wielonarodowe. Po kolei: Związek Radziecki, Czechosłowacja, Jugosławia. Z tych państw tylko Czechosłowacja przeprowadziła rozwój zupełnie pokojowo i w trybie cywilizowanym.



Rys. HENRYK CEBULA

Wstępnie uzgodniono wszystko, co tego wymagało, w tym sprawy sporne. Jugosławia rozpadła się niechętnie, połowa tworzących ją narodów była rozpadowi przeciwna. Przyspieszyła go interwencja mocarstw zachodnich, tych samych, które w 1919 r. dość bezmyślnie Jugosławie powołały do życia. Teraz równie bezmyślnie ją likwidowały metodą krwawych wojen. Pozostały Bośnię, państwo bez narodu, zamieszkałe przez Chorwatów oraz Serbów, prawosławnych oraz poturczków, zislamizowanych, wzajemnie się nienawidzących. Pilnują tego państwa natowscy żołnierze – gdyby wyjechali, wojna domowa wybuchłaby znowu.

Najbardziej chaotycznie i anarchicznie rozpadł się Związek Radziecki, mocarstwo atomowe i stały członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Z inicjatywy Borysa Jelcyna spotkali się w Białowieży białoruskiej szefowie trzech słowiańskich państw poradzieckich i w czasie biesiady postanowili rozwiązać Związek Radziecki. Z pozostałymi republikami tego nie uzgadniali i z prezydentem tegoż związku Michaiłem Gorbaczowem również. Niczego też nie przedyskutowali. Zawiadomili o swej decyzji prezydenta Stanów Zjednoczonych, zastanawiali się, kto ma zadzwonić do Gorbaczowa, ale Jelcyn zapytał podobno:

„A po co? Jutro przeczyta w gazecie” – i tak się stało. O szczegółach tego rozvodu dyskutowano dopiero po dwóch tygodniach w Alma Acie (obecnie Almaty) na spotkaniu wszystkich republik. Sprawa była dojrzała społecznie, większość republik już ogłosiła niepodległość, więc zrealizowała się bez jakiegokolwiek oporu.

Nie uzgodniono wcześniej ani zresztą później wielu spornych kwestii, nie sporządzono żadnego traktatu rozwodowego. Uporządkowaniem kilku ważnych międzynarodowo prerogatyw poradzieckich zajęły się mocarstwa zachodnie, przede wszystkim Stany Zjednoczone.

Obecnie, gdy na Rosję spadło odium wojny z Ukrainą, niektórzy najbardziej zajadli jej przeciwnicy oskarżają ją o bezprawne zagarnięcie miejsca po ZSRR w ONZ i Radzie Bezpieczeństwa oraz statusu nuklearnego. W rzeczywistości Rosja Jelcynowska była zbyt słaba, a jej szef zbyt rzadko trzeźwy, aby

coś zawłaszczać. Spuścić ją po ZSRR w ONZ zajęły się Stany Zjednoczone i zarządziły nią – jak umiały najlepiej – dla stabilności ładu światowego. Bez kłopotu skłoniły Radę Bezpieczeństwa do uznania Rosji za następcę ZSRR z jego uprawnieniami. Podobnie było z bronią nuklearną.

Kierownictwo radzieckie przezornie zadbało o to, aby wszystkie laboratoria nuklearne i wytwórnie zlokalizować na terytorium Rosji. Jedynie pewna ilość gotowych głowic znajdowała się w jednostkach wojsk strategicznych stacjonujących w Ukrainie, Białorusi i Kazachstanie. Ponieważ przyjęto, że każda republika po rozpadzie ZSRR przejmie jednostki wojskowe, które stacjonowały na jej terytorium, te trzy państwa nabrały z miejsca statusu quasi-nuklearnego. Piszę „quasi” dlatego, że w pełni nuklearne nie były – miały głowice, ale bez ich wytwórni i niezbędnego know-how. Te głowice nuklearne odebrała Ukraincom nie Rosja, lecz dla Rosji Stany Zjednoczone. Metodą kija i marchewki. Za kij posłużyła groźba odmowy uznania ich niepodległości, a za marchewkę – setki milionów dolarów.

Można powiedzieć, że w 1993 r. Amerykanie wykupili dla Rosji kilkadziesiąt rakiet i bombowców z bronią nuklearną. Woleli, aby dysponowała nimi znana im Rosja niż wciąż silnie zanarchizowane republiki. Poza tym wartością dla Stanów Zjednoczonych nadrzędną wtedy i dziś pozostaje stabilność ładu światowego i zachowanie nad nim kontroli.

3

Autorzy rozpadu ZSRR nawet nie próbowali skorygować granic usamodzielniających się państw. Dotychczasowe wewnętrzne granice administracyjne, ustalone dowolnie przez dyktatorów, stały się granicami państwowymi. Była to reguła wymyślona przez mocarstwa zachodnie w zastosowaniu do procesu dekolonizacji. Miała zapobiec wojnom o granice. Okazała się w praktyce konfliktogenna w dawnych koloniach oraz w Związku Radzieckim i Jugosławii. W licznych wojnach nią spowodowanych zginęły miliony.

Roman Dmowski, jeden z ojców naszej niepodległości i prorok dzisiejszych konfederatów, 90 lat temu proroczo przewidział dzisiejszą wojnę Rosji o Ukrainę. Sprzyjał Rosji, pisał: „Rosjanie musieliby być najnieodolniejszym w świecie narodem, żeby łatwo się pogodzić z utratą olbrzymiego obszaru Ukrainy”. Rosja Putinowska wahała się między dwiema opcjami siłowymi: uzależnieniem całej Ukrainy lub oderwaniem od niej obszarów z przewagą rosyjskiej populacji. W 2014 r., zajmując Krym, Putin wybrał drugi wariant, w lutym 2022 r. wrócił do pierwszego i najechał Ukrainę.

Początkowo lokalne rewindykacje obszarów o populacji rosyjskiej okazały się strawne dla mocarstw zachodnich, które łatwo pogodziły się z aneksją Krymu. Gdyby Rosja występowała o korektę granic z Ukrainą w drodze pokojowej, w rokowaniach i metodą plebiscytu, odwołując się demokratycznie do decyzji miejscowej ludności, mogłaby liczyć na dość szerokie poparcie w świecie. Takich korekt granicznych nie zakazuje Karta Narodów Zjednoczonych. Rosja

jednak ani przez chwilę nie brała pod uwagę metod pojednawczych i pokojowych, a jedynie siłowe, imperialne, tradycyjne dla caratu i komunizmu.

Wbrew dość szerokiemu przekonaniu, że szansa na pokojową korektę granic i tak nie było, Rosja miała w ręku poważne atuty. Nie tylko realia etniczne, ale też inne. Podział obszaru poradzieckiego według granic administracyjnych krzywdził ją etnicznie, ale uprzywilejował gospodarczo. Wielka skarbnica dóbr naturalnych i niewyczerpalne źródło dewiz – Syberia – dostała się jej w całości, choć przez cztery wieki była kolonizowana i zaludniana przez całą słowiańską populację imperium. Ukraińcy i Białorusini, tracąc udział w bonusach syberyjskich, doznali znacznego uszczerbku. Po 25 latach ich dochód narodowy jest porównywalnie znacznie niższy od rosyjskiego.

Rosja miała Ukrainie wiele do zaoferowania w zamian za ustępstwa terytorialne. Niestety i tę szansę Putin zmarnował swoją nieodpowiedzialną polityką wojenną. Nawet nie podjął próby wyjaśnienia szans pokojowej regulacji spornych kwestii z Ukrainą, postawił wyłącznie na siłę militarną i tę stawkę już przegrał definitywnie.

4

Zmarnowane szanse z reguły już nie wracają. W tym jednak przypadku nie można tego wykluczyć ze względu na wielką rolę państw trzecich.

Skuteczność ukraińskiej obrony wobec znacznie silniejszej Rosji zależy od asystencji państw NATO, a przede wszystkim od Stanów Zjednoczonych. Jest to asystencja starannie dozowana, tak aby zapewnić skuteczną obronę ukraińskiej niepodległości, ale nie eliminować Rosji jako czynnika ładu światowego.

Trzymanie się tego kursu potwierdził prezydent Biden na wileńskim szczycie NATO dość obcesowo.

Powrotowi szansy na zawieszenie broni i negocjacje terytorialne sprzyjają też obecny impas w działaniach frontowych oraz dostrzegalne zmęczenie wojną po obu walczących stronach. Również w Stanach Zjednoczonych poparcie dla aktywnej i kosztownej asystencji Ukrainie z wolą słabnie. W europejskiej części NATO wciąż pozostaje chwiejne. Większość tych państw nadal nie wydaje 2 proc. budżetu na zbrojenia. W rezultacie mogą świadczyć Ukrainie pomoc tylko z rezerw posiadanych na stopie pokojowej. Ukrainie brakuje broni i zwłaszcza amunicji. To także jeden z powodów impasu frontowego. Decydujący będzie przyszły rok. Wybory w Stanach Zjednoczonych rozstrzygną na cztery lata, czy do głosu dojdą republikanie mniej chętni do wspierania Ukrainy. Gdyby zwyciężyła koncepcja zawieszenia broni i podjęcia negocjacji, wtedy wszystkie opcje inne niż wojna znajdują się na stole. Pozycja Ukrainy będzie słabsza niż oczekiwana przez jej władze, ale nieporównanie silniejsza, niż była trzy lata wcześniej.

M.Z.



Wojtyła wprowadził w Watykanie system denuncjacji.

Anonimowy papież

Ekke Overbeek, zapytany, jak znalazł się w Polsce, odpowiada, że z młodzieńczej głupoty. Holenderski dziennikarz, który przyjechał tu jako 20-letni młodzieniec zafascynowany światem zza świeżo zerwanej żelaznej kurtyny, bez znajomości języka polskiego (którym dziś mówi bezbłędnie) i w sumie bez pojęcia, dokąd zmierza – stał się autorem najpoważniejszych w Polsce książek demaskujących księżą pedofilię i rolę „papieża Polaka”: „Lękajcie się; ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią” z 2013 r. i tegorocznej pozycji „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”.

Trudno się zatem dziwić, że sierpniowy Złot Ateistów, organizowany jak zwykle przez Koalicję Ateistyczną w święto Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny, przyjął Overbeeka z entuzjazmem, choć ciekawe było to, jak powściągliwość Holendra kontrastowała z bojowym nastawieniem towarzyszy ateistów. Na przykład na pytanie, czy nie należałoby pokazywać księży swawoli bardziej dosłownie – tu padł przykład bodajże z Irlandii: czterolatka, którego grupa zakonników przybiła do krzyża i gwałciła na zmianę – Overbeek odpowiedział, że jego zdaniem nie. Ponieważ tego typu obrazowość budzi u ludzi, którzy czują się związani z Kościołem, spontaniczny opór, a chodzi jednak o to, żeby zamiast gniewnego wyparcia zareagowali refleksją.

Bezradność, ale i sukces

Ekke Overbeek opowiada, że jego rodzice wystąpili z Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, kiedy miał 7 lat. Nie jest więc człowiekiem ukształtowanym w duchu religijnym, jednakowoż pozostał „kulturowym kalwinem”. Jego spojrzenie na katolicyzm i religię w ogóle jest zatem zupełnie inne od obowiązującego w Polsce. Co czyni go jednocześnie najlepszym autorem demaskujących polski papizm książek – i najłatwiejszym do zaatakowania.

Overbeek, który do tego wszystkiego jest jeszcze niezwykle kulturalnym i uprzejmym facetem, na każdym kroku czyni różne zastrzeżenia, podkreślając, że zdaje sobie sprawę z niezręcznej roli gościa, który kłał gniazdo gospodarza: „Jako byłemu protestantowi jest mi głupio atakować Kościół katolicki; moim celem nie jest zniszczenie Kościoła czy wiary”... Ale jako reporter – dodaje – czuje się w obowiązku pisać o tym, czego się dowiedział, a czego inni polscy dziennikarze przez wiele lat nie mieli odwagi robić.

Może dlatego – zauważa Overbeek – że po „naszej liberalnej” stronie widoczna jest swoista bezradność wobec faktów. Już tak wiele wiemy – nawet obecny papież przyznał, że tuszowanie przypadków pedofilii było za JP2 na porządku dziennym – a jednak ciągle tkwimy jakoś w świecie, w którym te informacje nie istnieją.

Z drugiej wszakże strony – i to bardzo ciekawa konstatacja – zadyma związana z nagłośnieniem ujawnianych między innymi przez Overbeeka faktów przyniosła tejże liberalnej i postępowej stronie niespodziewany sukces intelektualny.

Wypierdalaj z Polski

Histeryczna reakcja Kościoła instytucjonalnego i jego politycznych, a także publicystycznych akolitów sprawiła, że o krępujących dla JP2 faktach usłyszano nawet na najgłębszej polskiej prowincji; że różne zdewociałe staruszki (moje określenie; Overbeek nigdy by się tak nie wyraził), które w życiu nie wzięłyby tego obrzydlistwa do ręki, wiedzą, że taka książka wyszła i takie są zarzuty wobec Wojtyły.

Co prawda, zauważa niderlandzki reporter, reakcja społeczna na razie nie jest jeszcze wymarzona: na sondażu Ipsos dla OKO.press i Tok FM 49 proc. ankietowanych stwierdziło, że zamiast zajmować się przeszłością Wojtyły, dziennikarze powinni chronić pamięć o papieżu. Ten odsetek – przyznaje Overbeek – jest też widoczny w korespondencji, którą dostaje; mniej więcej połowa listów i maili to różne wariacje na temat sugestii „wypierdalaj z naszego kraju”.

Smutna konstatacja ze spotkania z autorem była taka, że jeśli gdzieś na świecie udało się wyświetlić i w jakiś sposób rozliczyć sprawy pedofilii kleru, nigdzie nie odbyło się to siłami samego Kościoła. Zawsze stały za tym niezależne komisje, złożone z niezależnych od Kościoła osób.

W Polsce – trafnie konstatuje Overbeek – trudno sobie wyobrazić, kto miałby być w komisji, w istocie rzeczy brak nam osób z takim autorytetem i bezstronnością wiarygodnością; każdy, kto do niej przystąpi, będzie natychmiast oskarżany: albo o krycie czarnych, albo o nienawiść do wiary i papieża.

Figuranci, agentura, prowadzący

Powyższe zresztą jest najważniejszym bodaj powodem, dla którego wydana w marcu książka „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział” jest tak cenna. Nie tylko ze względu na warstwę faktograficzną, ale także na ten właśnie kulturalny zdystansowany ton, w jakim jest utrzymana. Holender starannie unika egzaltacji i manipulowania emocjami, ogranicza się do podawania faktów i cytowania rozmówców (słowo w słowo, co czasem utrudnia zrozumienie, ale oddaje trafnie osobowość i nastrój mówiącego), z rzadka okraszając to bardzo powściągliwą ironią. Jest w istocie rzeczy tak obiektywny, jak to tylko możliwe.

Overbeek wiele swoich informacji czerpie z archiwów SB – teczek księży,

zarówno tych, którzy byli „figurantami”, czyli osobami rozpracowywanymi, jak i z meldunków agentów w sutannach i notatek ich prowadzących – co jest głównym zarzutem stawianym mu przez obrońców papieża. W odpowiedzi autor podkreśla – kilka razy – że mimo „zło-wrogiej roli”, jaką odegrała SB w PRL, była to służba specjalna, której zadaniem, niezależnie od systemu, jest zbieranie jak najpewniejszych informacji. Informacje z teczek Overbeek w miarę możliwości weryfikował w rozmowach z ofiarami i świadkami wydarzeń, a także w aktach sądowych. Jego opowieść jest zwarta, logiczna i szczególnie wstrząsająca – właśnie ze względu na brak emocjonalnych ozdobników. Przeczytajcie sami. Warto, a nawet trzeba.

Uprzejmie donoszę, po łacinie: delatio

Na zakończenie przytoczę wszakże jeden argument Overbeeka, który usłyszałam po raz pierwszy. Opowieść o tym, że Karol Wojtyła „nie wiedział” o pedofilii wśród kleru – mimo że sam, jak wykazuje autor, jeszcze jako biskup krakowski przynosił zboczeńców z parafii do parafii i wybacał im grzechy w zamian za obietnicę pokuty – jest kompletnie niewiarygodna z jeszcze jednego względu.

Otóż kiedy tylko Karol Wojtyła został papieżem, „wprowadził w Watykanie system denuncjacji, który przypomina działania służb w państwach komunistycznych”. Overbeek powołuje się na brytyjskiego badacza papizmu Johna Cornwella: „System donoszenia o wykroczeniach popełnianych przez proboszczów, a także biskupów, zwłaszcza gdy chodzi o duszpasterstwo osób marginalnych, rozpowszechnił się w ciągu dwóch lat od rozpoczęcia rządów Jana Pawła II i szybko się rozwinął. Termin używany w kręgach watykańskich to *delatio*, który znaczy tyle co anonimowy donos. *Delatio* nie musi być podpisane ani też urzędnik watykański, który podejmuje sprawę, nie jest zobowiązany do poinformowania oskarżonego, co dokładnie zawiera oskarżenie ani kto je wniósł”. Cornwell nazywa to „systemem kontrolowania myślenia” i pisze o „mobbingowaniu” zwłaszcza tych, którzy odważyli się myśleć o homoseksualizmie inaczej niż papież; system oparty na *delatio* śledził też z sukcesem wszelkiego rodzaju „herezje”, dotyczące rzeczy tak oderwanych od rzeczywistości jak dyskurs o istocie grzechu pierwotnego. A mimo to rzekomo setki informacji o księżach chędożących dzieci jakoś uwa-dze Watykanu umykały. Kupujecie to?

AWŁ

WIARA CZYNI CZUBA

1. Minister kultury Libanu Mohammad Mortada, wspierany przez Hezbollah, wystąpił o zakaz pokazywania „Barbie” w libańskich kinach. Jego zdaniem film ten „promuje homoseksualizm i transformację seksualną” oraz „sprzeciwia się wartościom wiary i moralności”, pomniejszając znaczenie rodziny. Szef Hezbollahu Hassan Nasrallah dodaje, że społeczności LGBT trzeba się koniecznie przeciwstawić, gdyż stanowi ona „bezpośrednie zagrożenie” dla Libanu. Do tego duetu dołącza maronicki (taka orientalna odmiana katolicyzmu) patriarcha Antiochii Béchara Boutros Raï. W 2017 r. Liban był pierwszym arabskim krajem z paradą równości, ale od tego czasu sojuszy sztychli i katolickich ekstremistów wywołał – mówi Ayman Mhanna z postępowej probywatelskiej Fundacji Samira Kassira – falę bigoterii. „Barbie” padła jej ofiarą.

2. „Wall Street Journal” donosi o aplikacji Remini, która generuje obrazy na zamówienie i cieszy się wielką popularnością wśród amerykańskich mileniów. Szczególnie radują się młode dziewczyny, które produkują swoje zdjęcia w sukni ślubnej lub z uroczym bobaskiem podobnym do nich i ich aktualnego chłopaka, co ponoć ma wywoływać „dzieciową gorączkę” (*baby fever*) w pokoleniu nieszczególnie skłonny do rozmnażania. Zdawałoby się, że religianccy konserwatyści powinni się cieszyć, że oto młode kobiety interesują się tym, do czego Bóg je stworzył. Ale nie. Emma Waters z prawackiego think tanku Heritage Foundation przestrzega, że aplikacja ma funkcję tworzenia obrazów dzieci par homoseksualnych, co „nie jest zgodne z zamierzonym przez Boga planem małżeństwa i reprodukcji”.

3. Członek peruwiańskiego kongresu Alejandro Muñante rozpoczął kampanię przeciwko 11-latce, która zaszła w ciążę zgwałcona przez 41-letniego ojczyra. Aborcja dla ratowania życia i zdrowia kobiety jest w Peru niekaralna – i ministerstwo zdrowia uznało, że przerwanie ciąży u zgwałconej 11-latki właśnie od takich się zalicza. Poseł Muñante jest innego zdania: „Z medycznego punktu widzenia, dopóki oba życia mogą zostać uratowane, przypadek Mili nie jest zgodny z protokołem aborcji terapeutycznej. Oczywiście nikt nie chciałby, aby to zdarzyło się komuś z jego rodziny, ale mówimy już nie o jednym, ale o dwóch życiach, które państwo musi jednakowo chronić” – powiedział i dodał, że jedynym dopuszczalnym rozwiązaniem jest zmuszenie 11-latki do donoszenia ciąży i porodu, po czym oddanie dziecka do adopcji.

4. Pożary, które zdewastowały hawajską wyspę Maui, kosztowały życie stu osób, a około tysiąca uważa się za zaginione; to najgorszy pożar w USA od 1918 r. Ale są też dobre wiadomości. Ogień oszczędził katolicki kościół Maria Lanakila (Marii Zwycięskiej) w Lahainie, co stało się „symbolem nadziei pośród katastrofalnych zniszczeń” – donosi katolicki serwis informacyjny CNA. Terrence Watanabe, wikariusz Maui i Lanai, mówi z radością, że zarówno budynek kościoła, jak i sąsiednia plebania wydają się nienaruszone: „Dla nas to jak cud”. „Inne historyczne miejsce kultu w Lahainie – kościół protestancki założony przez członków hawajskiej rodziny królewskiej – nie miał tyle szczęścia. Kościół Waiola świętował w maju 200. rocznicę. Według «Honolulu Star-Advertiser» spalił się do fundamentów” – donosi nie bez schadenfreude CNA.

5. I jeszcze jedna rewelacja z CNA: co się stało z brodą Maksymiliana Marii Kolbego – wyjaśnia serwis dla uczczenia 82. rocznicy śmierci świętego. Kolbe przywiózł brodę z Japonii, gdzie wyhodował ją, bo wśród misjonarzy była w modzie, niczym wśród latynoamerykańskich rewolucjonistów dwie dekady później. Ale podczas okupacji nadmiernie go wyróżniała spośród ogolonych franciszkanów, więc kazał innemu mnichowi ją obciąć. Obcinający chciał zachować włosie na pamiątkę, ale Kolbe – gwardian klasztoru, czyli osoba decyzyjna – polecił mu wrzucić je do pieca. Mnich pokornie wykonał polecenie – piec był wszakże niezapalony, toteż kiedy gwardian się oddalił, mnich wygrzebał szczecinę i schował w słoiku na wki. Dziś broda świętego Marii Maksymiliana jest jego jedyną zachowaną relikwią pierwszej klasy.

6. Ksiądz Jaime Adolfo Gonzalez-Farias, chilijski duchowny wizytujący diecezję Charleston w Karolinie Południowej, przyznał się do „przetransportowania osoby nieletniej przez granicę stanów Karolina Południowa i Floryda z zamiarem poddania jej sprośnemu i lubieżnemu zachowaniu”. Ksiądz Jaime ma lat 68; chłopiec, którego wywiózł na Florydę, miał w momencie podróży lat 11 (dziś ma 13). Bachor okazał się jednak dość przebiegły: zachował korespondencję esemesową i na WhatsApp, która potwierdziła jego zeznania, że na Florydzie ksiądz wszedł z nim pod prysznic, macał go po jajach i pokazywał mu pornosy, a także zwałił konia na jego oczach. Dokąd zmierza ten świat, żeby ksiądz nie mógł sobie przelecieć ministranta bez elektronicznych dowodów?

TATO, SKĄD SIĘ
BIORĄ DZIECI?



**Nikt nie zrobił
tyle dla tęczowej
społeczności
w Polsce, ile
uczynił PiS.**

Konrad Wallenrod LGBT



czy mu się to podoba, czy nie – do tych środowisk się zalicza. A może po prostu chodzi o to, że to lobby LGBT zainstalowało na szczycie władzy w Polsce własnego Konrada Wallenroda?

Rząd od spraw marginalnych

Jest co prawda drugi aspekt tej pisiej polityki: jak wszystko, co robią Prezes Państwa i jego towarzysze, także i narracja wobec LGBT się prowadzi do silnej polaryzacji społeczeństwa. Czyli o ile rzeczywiście tematyka ta została mocno spopularyzowana i wzrosła jej społeczna świadomość, o tyle betonowy elektorat PiS i innych ugrupowań o brunatno-czarnym zabarwieniu umocnił się w swojej nienawiści do wszystkiego, co ma tęczowy kolor. Tym samym stosunek do zagadnień związanych z LGBT stał się elementem politycznego wyboru. Opowiedzenie się przeciw prawom LGBT lub za nimi staje się dziś deklaracją polityczną.

Być może szef partii rządzącej kuma już, w czym rzecz, i stąd jego taka wypowiedź dla „Sieci”. Być może załapał, że na nienawiści do osób LGBT nie da się już dłużej budować kampanii wyborczej i pozyskiwać elektoratu, choć sam jeszcze do niedawna to robił. Może dotarło do niego, że judząc nieustannie przeciwko LGBT, u znacznej części społeczeństwa osiąga efekt odwrotny od zamierzonego, a w żelaznym elektoracie tą retoryką nie pozyska już nowych zwolenników. I dlatego próbuje to teraz rozmiękczyć.

Stwierdzenie prezesa ma jeszcze jeden wydźwięk, i to – wydaje się – ważny przede wszystkim dla zwolenników PiS-u. Otóż przez ostatnie osiem lat Naczelnik Państwa osobiście wielokrotnie judził przeciwko osobom LGBT. Judzili zachęeni przez niego wyżsi i niżsi rangą funkcjonariusze PiS-u i kolaboranci. Judził Kościół katolicki, z którym PiS trzyma nierozdzielny sztaf. Przeciwko osobom LGBT szczuły państwowa telewizja i inne środki przekazu pozostające pod kontrolą PiS-państwa. Policja urządzała regularne nagonki i łapanki na osoby LGBT i ich sojuszników. Duda budował sobie na anty-elgiebetowskich hasłach kampanię wyborczą. PiS-owscy samorządowcy uchwalali w gminach, miastach, powiatach i województwach uchwały wymierzone w osoby LGBT (znane jako tworzenie „stref wolnych od LGBT”). A więc wszystkie te działania, podejmowane przecież z pobudek światopoglądowych, dotyczyły spraw marginalnych, o niewielkim znaczeniu. Jeżeli dodać do tego inne sprawy światopoglądowe, którymi zajmował się w ciągu ośmiu lat rząd Zjednoczonej Prawicy, a które złożyłyby się na niemal 100 proc. jego działań, to wychodzi, że cały aparat państwa zajmował się sprawami marginalnymi. A więc, wyborco PiS, uważaj! Ci, na których głosujesz, zajmują się po prostu pierdołami, o czym poinformował właśnie sam Prezes III Najjaśniejszej.

EDYTA BAKER

że najważniejsze prawa, o które walczy społeczność LGBT, to równość małżeńska (czyli prawo do zawierania małżeństw jednopłciowych, tak jak mogą to robić pary różnopłciowe), możliwość legalnego uzgodnienia płci na zasadzie samostanowienia (przy oddzieleniu prawnego aspektu korekty płci od medycznego) oraz wpisanie do Kodeksu karnego orientacji seksualnej i tożsamości płciowej jako kolejnych przesłanek przestępstw motywowanych uprzedzeniami.

Donalda Tuska i jego kumpli sprawy te nie interesowały do tego stopnia, że żaden z postulatów środowisk LGBT nie znalazł finału w postaci konkretnego aktu prawnego (dodajmy, że wcześniej kwestie te nie interesowały żadnych rządów, z lewicowymi włącznie, choć próby podchodzenia do tematu były). Najbliższy sukcesu były osoby transpłciowe, bo zainicjowana przez Annę Grodzką ustawa o uzgodnieniu płci doczekała się jednak uchwalenia przez parlament w 2015 r., choć platformiana opieszałość i kombinacje wokół niej spowodowały, że nie zdążył jej podpisać prezydent Bronisław Komorowski. Wyładowała więc na biurku jego następcy Andrzej Duda i oczywiście podpisana nie została. Zgadnijcie, z jakich powodów. Tak, właśnie: światopoglądowych!

Wodzowi – wdzięczny naród

Dziś, po ośmiu latach PiS-rządów, sytuację mamy taką, że ten sam Tusk, który wcześniej miał na to serdecznie wywalone, zapowiada unormowa-

nie procedur korekty płci, a lesbijkom obiecuje, że legalny ślub w Polsce będą mogły wziąć niemal natychmiast po odstawieniu PiS od korytka. Owszem, Tusk poprzeczywał trochę na europejskich salonach i nabrał tam nieco oglądy i nowoczesnego sposobu myślenia, ale nie oszukujmy się: gdyby nie wyteżona praca ideologów z PiS, nie byłby w pełni świadomy konieczności pilnych rozwiązań prawnych dla społeczności LGBT.

Praktycznie rzecz biorąc, każda następna władza inna niż czarna musi poważnie liczyć się z postulatami dotyczącymi równouprawnienia LGBT i koniecznością ich realizacji przez państwo. Do wszelkiej maści polityków zaczyna już docierać, że osoby LGBT to nie niewielki procent społeczeństwa, jak zwykle się zawsze uważa. Bezspołecznie zainteresowanych – jeżeli wierzyć zwykłym niedoszacowanym ich liczbę statystykom – będą co najmniej ok. 2–3 mln. Ale jeżeli doliczyć do tego tych wszystkich nieujawnionych, a także wzrastającą liczbę akceptujących i rozumiejących problem rodzin oraz sojuszników czy też po prostu wszystkich ludzi rozumiejących prawa człowieka, to robi się już co najmniej kilkumilionowa rzesza potencjalnie zainteresowanych złatwieniem raz na zawsze problemów, z którymi borykają się osoby LGBT. Z taką liczbą nie można się już nie liczyć, szczególnie wobec wzrastającej społecznej świadomości problematyki. I za to cała społeczność LGBT może być głęboko wdzięczna PiS-owi. A szczególnie Wielkiemu Jarosławowi, pod którego auspicjami cała ta nagonka na LGBT się odbywa. Co ciekawe, robi to facet, który sam –

Popularyzatorzy

Nikt w III RP nie zrobił tyle dla popularyzacji zagadnień związanych z równouprawnieniem środowisk LGBT, ile zdziałł PiS.

Ciężka kilkudziesięcioletnia praca edukacyjna całych zastępów aktywistów jest niczym w porównaniu do reklamy, jaką sprawie równouprawnienia osób LGBT zrobili Wielki Jarosław i jego koledzy.

Do szerszej świadomości społecznej temat zaczął się ledwie przebić za drugiej kadencji rządów PO-PSL (lata 2011–2015). Wówczas wejście do sejmu dwójki posłów, Anny Grodzkiej i Roberta Biedronia – ujawnionej osoby transpłciowej i ujawnionego geja – było pierwszą jaskółką, wiosny jeszcze nieczytną. Szczególnie że ówczesna władza miała te sprawy w głębokim poważaniu, a wołania o prawa osób LGBT zbywała za zwyczaj argumentem najgłupszym z możliwych: „Polska jeszcze nie jest gotowa”. Przypomnijmy,

Relacje między radykalnymi lewicowcami i społecznością LGBTQ+ nie zawsze były różowe. Nie dziwota, obie grupy nie są jednorodne. I nigdy nie były. Ale jeśli przezwyciężyć trudną historię, to okaże się, że stosunki między nimi są coraz bardziej obiecujące, nomen omen płodne poznawczo.

O wrogości Fryderyka Engelsa wobec homoseksualistów ma świadczyć następujący fragment o rodzinie ateńskiej, zamieszczony w „Pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa”: „Poniżenie żon zemściło się jednak na mężach i poniżyło wreszcie ich samych; pogrążyli się oni ostatecznie w przeciwną naturze miłość do chłopców i mitem o Ganimedzie zbezczeszcili zarówno swoich bogów, jak i siebie”.

Engels nie krytykuje w nim jednak greckiego homoseksualizmu, ale „miłość do chłopców”, czyli krytykuje seks dorosłych z dziećmi i nastolatkami (płeć nie ma tu nic do rzeczy). Gwoli ścisłości – Ganimedes był chłopcem, którego porwał obłędny starzec Zeus, aby zaspokoić swoje chore żądze.

Nie oznacza to bynajmniej, że marksiści od razu powitali z otwartymi rękami ruchy wyzwolenia osób homoseksualnych.

Przez długie lata przekonywali, że bycie gejem, lesbijką, osobą biseksualną czy transpłciową to wymysł znużonej i moralnie zepsutej burżuazji.

Tęczowo-czerwoni

W parze z LGBT nie zawsze szło lewactwo.

W krajach, gdzie zwyciężył marksizm-leninizm, często prześladowano osoby nieheteroseksualne. Elgiebety miały często w dupie walkę klas i z radością witały przyznawanie im praw obywatelskich przez liberałów.

To prawda. Ale nie cała prawda.

Wszystkiemu winien kapitalizm

Ciekawe jest połączenie marksizmu z elgiebetami, które od lat 70. XX w. reprezentuje mieszkający w Holandii gejowsko-socjalistyczny uczony i aktywista Peter Drucker (nie mylić z guru zarządzania Peterem F. Druckerem). Podkreśla on, że wyłonienie się nowoczesnej tożsamości queerowej było efektem rozwoju kapitalizmu, zwłaszcza powojennego tzw. złotego trzydziestolecia (1945–1973).

W tekście z 2010 r., opublikowanym w socjalistycznym magazynie „Against the Current”, podkreśla, że elgiebety mogły wyłonić się jako ruch społeczny dzięki rozwojowi na Zachodzie społeczeństwa masowej konsumpcji i państwa opiekuńczego. Po raz pierwszy okazało się, że przedstawiciele klasy robotniczej czy studenci mogą żyć niezależnie od swoich rodzin. Kiedy jednak zaczął przez świat iść walec neoliberalizmu, ruch LGBTQ+ skomercjalizował się i zaczęła w nim dominować wyższa klasa średnia.

W artykule sprzed niespełna dekad Drucker przywołuje bolszewicką komisarz ds. społecznych sprzed stu lat Aleksandrę Kołontaj. Jej zdaniem ludzie w wyobcowanym społeczeństwie często trzymają się „w drapieżny

i niezdrowy sposób iluzji o znalezieniu »bratniej duszy« [...] jako jedyne go sposobu na odczarowanie, choćby na jakiś czas, mroku nieuniknionej samotności”. Osoby z kręgów LGBT mogą w mniejszym stopniu polegać na emocjonalnym i praktycznym wsparciu swoich rodzin pochodzenia, są zatem szczególnie zależne od przyjaciół, a więc padają ofiarą tego, co nazywa się „spadającym wskaźnikiem przyjaźni” we współczesnym kapitalizmie.

Antyrasizm i feminizm

Warto podkreślić, że związek marksizmu z elgiebetami nie jest monogamiczny, to związek typowo poliamoryczny, czyli konstelacja złożona z kilku podmiotów. Coraz częściej w tym nowoczesnym małżeństwie istotną rolę odgrywają antyrasizm i feminizm. Pozwala to na swoisty sojusz uciskanych i wyalienowanych, i to nie tylko na poziomie bogatych państw bogatej Północy, ale również biedoty i nędzarzy globalnego Południa. Bo okazuje się, że różne formy kapitalistycznego ucisku i wyzysku nakładają się na siebie, czyniąc życie wielu ludzi nie do zniesienia.

I tak grupą wyzyskiwaną na wszelkie możliwe – i wydawałoby się, że niemożliwe – sposoby są niewykształcone kolorowe kobiety (a często nastoletnie dziewczynki) w Trzecim

Świecie, harujące po 12 godzin dziennie w tzw. fabrykach potu (sweat shopach) czy też zmuszone do prostytuowania się, aby nie zdechnąć z głodu. No i tu pojawia się też – opisywana przez brytyjskiego lewaka i geja Jeremy’ego Seabrooka – kwestia zmuszania chłopców (zresztą nie zawsze o orientacji homoseksualnej) z klas niższych do zaspokajania fantazji przyjeżdżających z bogatych krajów mężczyzn lubiących seksturystykę.

Jak zauważył w 2014 r. David Camfield na łamach prestiżowego czasopisma naukowego „Critical Sociology”: „Połączenie kluczowego wkładu intelektualnego Karola Marksa i tego, co najlepsze we współczesnym antyrasistowskim (krytycznym) feminizmie queerowym, to obiecujący kierunek krytycznej teorii społecznej”. Co więcej, „antyrasistowski queerowy feminizm rozumie zakres, w jakim współczesne społeczeństwa (i wiele z tych, które istniały historycznie) są zorganizowane społecznie szeroko i intensywnie przez relacje społeczne inne niż klasowe – te związane z płcią, rasą i seksualnością – a także przez klasę”.

Wszyscy, którzy wierzą w postęp i nie są dogmatyczni, powinni nosić się na różowo-czerwono. To połączenie bardziej na czasie aniżeli wszystko to, co nakazują dyktatorzy mody z Paryża, Nowego Jorku czy Mediolanu.

Z.J.

Szubienice i Cipa – obiekty niezłomne

Zawartość pisizacji w dekomunizacji.

Jak bumerang umaczany w formalinie wraca sprawa dekomunizacji pomnika Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie. Wieloletnia walka Instytutu Pamięci Narodowej z władzami stolicy województwa warmińsko-mazurskiego o obalenie z przestrzeni publicznej pomnika autorstwa Xawerego Dunikowskiego z każdym tygodniem wydaje się wchodzić w nową fazę, a finału nie widać. Historia próby pozbycia się monumentu przywodzi na myśl pogoń bezzębnego jebaki z garbem za figlarną pensjonarką.

Obalenie szubienic

1 lipca rozpoczęła się akcja informacyjno-edukacyjna „Straszy w mieście!”, którą zainicjował Instytut Pamięci Narodowej. Ma ona wymiar lokalny i skierowana jest do mieszkańców Warmii i Mazur, a przede wszystkim – do mieszkańców Olsztyna.

„Chcemy przekazać rzetelną wiedzę historyczną nt. zbrodni sowieckich dokonywanych na Warmii i Mazurach, szczególnie w 1945 r., w kontekście stojącego w centrum Olsztyna obiektu propagandowego będącego pomnikiem wdzięczności armii sowieckiej. Władze miasta – mimo obowiązywania od 1 kwietnia 2016 r. ustawy dekomunizacyjnej – nie chcą go zdemontować. [...] Symbol sowieckiej okupacji nie powinien znajdować się w centrum polskiego miasta” – zagroził na antenie Radia Maryja rzecznik prasowy IPN i ekspert w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów dr Rafał Leśkiewicz. Władze uznały, że ulicznym spektaklem pokażą palcem ludowi, co ma myśleć. Lud tymczasem pokazuje władzy środkowym palcem zupełnie co innego.

Mowa o słynnych Szubienicach, jak lokalsi pieczętują określenie pomnik Wyzwolenia Ziemi Olsztyńskiej, pierwotnie nazwany pomnikiem Wdzięczności Armii Czerwonej.

Pomnik komunistycznej sroce spod ogona nie wypadł, bo jego autorem był sam Xawery Dunikowski, polski rzeźbiarz i malarz, mianowany w 1930 r. na mocy postanowienia prezydenta Rzeszowskiej profesorem nadzwyczajnym rzeźby, podczas II wojny światowej więzień KL Auschwitz. Nie dziwi zatem, że władze miasta stoją murem za pomnikiem.

Próby unicestwienia pomnika trwają od lat i przypominają kiepski sitcom. W tym czasie nad dekomunizacyjnym działaniem obradowały już sądy, usunięcia domagał się IPN, wojewoda Artur Chojceki nakazał usunięcie obiektu z rygiem natchnienia wykonawcy, od której to decyzji prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz odwołał się w lutym bieżącego roku. W sporze wojewoda-prezydent Olsztyna minister kultury Piotr Gliński przyznał rację wojewodzie. Prezydent Olsztyna się jednak nie daje, ale i IPN nie składa broni. 19 czerwca podczas konferencji prasowej wojewoda Artur Chojceki ogłosił, że za sprawą wykreślenia z rejestru zabytków placu, na którym stoją Szubienice, usunął ostatnią wymówkę prezydenta Grzymowicza.

Komunistyczny monument znajduje się na placu imienia Xawerego Dunikowskiego – autora pomnika, przy – o zgrozo – al. Piłsudskiego, ale do wszystkiego można się przystosować. Według sondażu IBRiS, zleconego przez prezydenta Olsztyna, za pozostawieniem pomnika jest 46 proc. mieszkańców. Za usunięciem albo przeniesieniem w inne miejsce – 43 proc. Reszta nie wiedziała, co ma myśleć.

20 czerwca olsztynianie Elżbieta Traba oraz Robert Traba (historyk, profesor Instytutu Studiów Politycznych PAN) opublikowali apel i petycję w obronie pomnika. „Nie chcemy tzw. relokacji, co w efekcie oznacza likwidację pomnika Xawerego Dunikowskiego. Dzieło sztuki, nawet jeżeli są trudnym dziedzictwem minionej epoki, nie powinniśmy niszczyć! Nie chcę tego ani władze samorządowe, ani większość olsztynianek i olsztyniaków. Nie pozwólmy, by pomnik stał się ofiarą antagonizacji polityki historycznej. Prędzej czy później prowadzić to będzie do pełnej ideologizacji historii” – napisali. Apel poparli artyści, pisarze, profesoria, architekci, m.in. twórcy Teatru Węgaity, preze-

ska SARP, przewodniczący Warmińsko-Mazurskiej Okręgowej Izby Architektów. Do 9 lipca petycję podpisało 577 osób.

Tymczasem w drugiej części kraju odbywa się podobny bal...

Prucie Cipy

„W ciągu nieco ponad roku udało się usunąć 30 obiektów propagandowych z 60, jakie znajdowały się w Polsce. Do usunięcia została nam połowa. Pewne opory są także w Rzeszowie” – prul się na antenie rydzikowego radia Leśkiewicz, a ja zaczęłam się uśmiechać pod wąsem. Stojący dumnie w Rzeszowie pomnik Czynu Rewolucyjnego, zwany potocznie Wielką Cipą, i olsztyńskie Szubienice mają więcej wspólnych mianowników niż historyczny kontekst powstania i niezłomność w opozycji wobec procesu dekomunizacji. Ale od początku.

Rzeszowski monument o charakterystycznych kształtach kojarzonych z oślimi uszami, a najczęściej z damskimi genitaliami, również załapał się na listę obiektów przeznaczonych do hucznego wypierdolenia w myśl ustawy dekomunizacyjnej. Mimo że historycy IPN-u Wielką Cipę namiętnie mianem „symbolu zbrodniczego systemu”, od siedmiu lat, czyli od momentu wprowadzenia ustawy dekomunizacyjnej, pomnik wciąż jest częścią panoramy Rzeszowa, a prób jego obalenia końca nie widać.

Sprawa unicestwienia Cipy napotkała na swojej drodze kilka komplikacji. Zgodnie z ustawą właściciel nieruchomości, na której znajduje się monument upamiętniający osoby, organizacje czy wydarzenia symbolizujące komunizm lub inny ustrój totalitarny, powinien go usunąć. Dowcip (ha!) polega na tym, że pomnik Czynu Rewolucyjnego jest prawdopodobnie jedynym na świecie pomnikiem komunistycznym, który jest własnością zakonu bernardynów. W wyniku uchwały podjętej przez rzeszowskich radnych w 2006 r. bernardyni w ramach zwrotu terenów, które zostały im za komunę zabrane, otrzymali za symboliczny 1 proc. wartości teren, na którym znajduje się pomnik. Przyszła ustawa dekomunizacyjna i Cipa stanęła braciśkiem w gardle.

W kwietniu bieżącego roku radni Rzeszowa większością głosów przyjęli trzy uchwały broniące pomnika Czynu Rewolucyjnego przed wyburzeniem. Uchwałę klubu Rozwój Rzeszowa, która „wyznacza kierunki działania prezydenta Rzeszowa (Konrada Fijołka), by doprowadzić do przejęcia przez miasto pomnika”, poparło 18 radnych, dziewięciu z PiS było przeciwko.

Zdecydowana większość mieszkańców także stoi murem za Cipą. W mediach społecznościowych jak króliki mnożą się inicjatywy mające uchronić obiekt przed wyburzeniem. Do obrońców pomnika

dołączył nawet diecezjalny konserwator zabytków kurii w Rzeszowie ks. dr Paweł Batory, który zaapelował do zakonu, by zwrócił monument miastu.

„Jeśli obiekt zostanie usunięty lub zniekształcony, straty wizerunkowe klasztoru i Kościoła w Rzeszowie będą katastrofalne. Nie stawajmy się barbarzyńcami, którzy niszczą udane realizacje artystyczne i symbole ważne dla lokalnej społeczności” – zaapelował. Cipa jest wciąż w grze.

Historia (sztuki), głupsze!

Autorem pomnika Czynu Rewolucyjnego w Rzeszowie jest Marian Konieczny, polski rzeźbiarz, profesor, dziekan (1968–1972) Wydziału Rzeźby i rektor (1972–1981) Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Konieczny na początku swojej akademickiej przygody był też studentem pracowni Xawerego Dunikowskiego.

Patrząc z perspektywy czasu i przez pryzmat historii na rozgrywający się wokół pomników autorstwa obu artystów – mistrza i ucznia – cyrk, nie sposób nie odnieść wrażenia, że historia zatoczyła koło, a rewolucja skłoniła władze partyjne do autofellatio.

Głównym ekspertem i na poły decydem w sprawie wartości wspomnianych obiektów artystycznych jest dr Karol Nawrocki, prezes IPN-u i były bokser. Nie dziwi zatem, że

wyrośłemu na rozlicznych maskaronach poświęconych papieżowi Polakowi czy Lechowi Kaczyńskiemu urzędnikowi trudno pojąć, że pomniki zarówno Dunikowskiego, jak i Koniecznego są dziełami wybitnymi. Nawrocki zwyczajnie chuja się zna.

O tym, że dostrzeże w nich – delikatnie mówiąc – ambiwalentną wymowę treściową, w ogóle można zapomnieć.

Pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej Dunikowskiego tworzone sześć lat. Powstało jego siedem makiet. Dunikowski ścierał się z władzami lokalnymi i centralnymi na każdym etapie

tworzenia dzieła. Artysta był oporny na działania władz i zdecydowanie bronił swej wizji twórczej. Na makietach budowli wprowadzał nieznaczne zmiany, które nie korespondowały z decyzjami ministerstwa i nie naruszały autorskiej koncepcji artystycznej. Okazał się wytrawnym graczem, który twórczo koegzystował z systemem, czego doskonale podsumowanie znajdziemy w tym cytacie: „Mimo nacisków władzy Dunikowski pomija wzorzec formalny zgodny z kanonem »socu«. Tematyka dzieła – wyrażenie wdzięczności Armii Czerwonej za wyzwolenie Olsztyna – skupia się na żołnierzu radzieckim, militariach sowieckiego wojska i dobrobycie komunistycznej ojczyzny – dotyczy więc ideologii i pokrywa się z treścią socrealistycznej sztuki. Idealna wizja uprzemysłowionego kraju ukazana w płaskorzeźbach stanowi wymarzoną rzeczywistość mityczną, nieistniejącą w codziennych realiach. Jej twórca – żołnierz radziecki – przypomina gigantycznych rozmiarów współczesnego herosa [...], który przyczynił się do powstania idyllicznego świata. [...] Na takie przedstawienie postaci wpłynęła mniej ideologia, wobec której artysta wykazywał postawę ambiwalentną, a bardziej jego osobiste doświadczenie – ocalenie przez żołnierza radzieckiego, który wyzwolił go z Oświęcimia. Swoją wdzięczność wyraża w artystycznym wybryku. Żołnierza radzieckiego ukazuje jako mitycznego herosa, a konsekwencję jego czynu jako utopijną komunistyczną arka-dię” – pisze w książce „Powojenna twórczość pomnikowa Xawerego Dunikowskiego 1945–1964” Karolina Tomczak.

Przyczka w nos lub, jak kto woli, zawałowanego fucka, pokazuje swoim dziełem ówczesnej władzy także Marian Konieczny. W styczniu 2015 r. w Rzeszowie odbyło się spotkanie z profesorem Koniecznym, który podkreślił, że tworząc rzeszowski pomnik Czynu Rewolucyjnego, za tło i inspirację obrał mandorlę, jeden z najstarszych motywów w sztuce sakralnej (aureola otaczająca postać tronuujących Jezusa lub Marii o kształcie migdału lub owalu, na ogół o ostrych zakończeniach). Do postaci antycznej Nike (w mitologii greckiej bogini i uosobienie zwycięstwa) oraz robotnika i chłopca dodał żołnierza mającego symbolizować walkę o niepodległość i obronę Polski przed okupantem. Krótko mówiąc, dzieło reprezentuje wartości ponadczasowe.

Zamordyzm realizowanej w mechaniczny sposób dyrektywy obecnych władz państwowych – o, ironio – doskonale pokazuje różnicę między podejściem do sztuki państwa komunistycznego a postawą krajów, którym ta doktryna była obca. System totalitarny poddany ideologii dyskwalifikował twórczość o istotnej wartości artystycznej, ale nieprawomysłnej, najczęściej na podstawie decyzji ludzi merytorycznie nieprzygotowanych do oceny sztuki, co – jak widać – zdarza się i dziś.

Powielana przez pisowskich urzędników zasada dzieła za dzieło również idealnie wpisuje się w ten nurt.

Mechanizm zastępowania pomników socrealistycznych nowymi formami upamiętniania wydarzeń i postaci historycznych wskazywanymi przez IPN to przykład zamiany konkurencyjnego kultu na drugi.

Decyzja zastępcza

12 lipca w Olsztynie przedstawiono założenia „Projektu pokoju”, czyli muzeum pod chmurką. Kulturotwórcza przestrzeń oscylująca wokół pomnika miałaby opierać się na ośmiu filarach opisujących trudne dzieje regionu. Są to: zwycięstwo Niemiec nad Rosjanami pod Tannenbergiem w 1914 r., plebiscyt na Warmii, Mazurach i Powiślu (jeden z dwóch plebiscytów dotyczących Polski, ustalonych w 1919 r. w wersalskim traktacie pokojowym, kończącym I wojnę światową), II wojna światowa, stalinizacja Polski do 1956 r., biografia Xawerego Dunikowskiego, polskie spory o pamięć po 1956 r., okres po 1989 r. oraz „hyde park”, który pozwalałby każdemu wyrazić swoje zdanie.

22 lipca podczas konferencji dotyczącej pomnika Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojceki, mając w dupie intencje mieszkańców i społeczników oraz działania prezydenta Grzymowicza, zapowiedział, że w najbliższym czasie wyda „decyzję zastępczą”, która doprowadzi do ostatecznego rozwiązania kwestii monumentu. Do momentu oddania tekstu decyzja się nie pojawiła...

Na razie zarówno pomnik w Olsztynie, jak i w Rzeszowie niszczej, pozostając niemymi świadkami urzędniczej wojny z kolejnym kolosem na glinianych nogach.

IDALIA DUBICKA

Nieźła sztuka i wisi

Jaki Luwr, tacy włamywacze.

Kradzież dzieł sztuki, które znajdują się w prywatnych galeriach lub muzeach, to trzeci światowy biznes, zaraz po handlu narkotykami i bronią. Szacuje się go na 1,5–6 mld dol. rocznie. Na świecie złodzieje dzieł sztuki otoczeni są legendą i szacunkiem. W Polsce jest inaczej...

Bitwę pod Grunwaldem widzę ogromną

Do muzeum sztuki mieszczącego się w Pałacu Poznańskim przy ul. Ogrodowej w Łodzi włamał się 30-letni mężczyzna. Za wartościowe uznał laptop i inne elektroniczne sprzęty biurowe.

Może dlatego, że drogiego i uznanego w świecie malarstwa jest w Polsce tyle, że starczyłoby na jedno nieduże i świetnie strzeżone muzeum. Bo to raptem „Dama z łasiczką”, parę Rembrandtów i „Św. Franciszek” El Greco. Jest jeszcze „Sąd ostateczny” Memlinga, ale z racji ołtarzowych gabarytów kradnie się go sporadycznie, i to w czasie wojen.

Polskie malarstwo nikogo w świecie nie interesuje, więc nie ma na nie złodziejskich zamówień. Tak jak i największe – według kryteriów patriotycznych i w metrach biejących – dzieła. Znaczą „Bitwa pod Grunwaldem” czy „Panorama Racławicka”.

Poza tym Polacy nie znają się na malarstwie. Gdyby było inaczej, nie zachłysłiby się 30 lat temu Galerią Porczyńskich. Czyli zbiorem kiepskich kopii dzieł uznanych mistrzów, nad których wartością – o zgrozo! – pieli podówczas wszyscy, którzy mogli.

Monety trzymamy za szafą

Nic więc dziwnego, że z muzeum na terenie Zamku Kamieniec w miejscowości Korczyna/Odrzykoń w województwie podkarpackim złodziej ukradł „maskę hańby”. Takie coś z blachy, co za karę w średniowieczu wkładano złym ludziom na głowę i skiskano, żeby delikwentowi było nieprzyjemnie. Skradzioną maskę ze średniowieczem nie miała nic wspólnego, bo wykuł ją jakiś kowal kilka lat temu. Fant był wart tyle, ile płać za złom.

Zamiast jednak wstydyzić się za zarabianie na pokazywaniu takich podróbek, pracownicy zamku opublikowali post na Facebooku, apelując o zwrócenie maski: „Możesz odesłać, przerzucić przez siatkę. Ale już nigdy nas nie odwiedzaj”.

Do jedynego prawie udanego u nas wyjątku sensownej kradzieży dzieła sztuki doszło w 2000 r. w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Robert Z. zwinął „Plażę w Pourville” Claude’a Moneta – jedyny obraz tego malarza w polskich zbiorach. Zupelnego wstydu więc nie ma. Złodziej jako wielbiciel Moneta ukradł obraz dla siebie i trzymał go w domu za szafą. W końcu go nakryto po wielu latach.

Zupełnie inaczej niż w Bostonie, gdzie para złodziei skubnęła: „Koncert” Vermeera, krajobraz holenderskiego malarza Goverta Flicka, obraz

Maneta „U Tortoniego”, pięć dzieł Degasa

oraz trzy Rembrandty. Od 33 lat miejsca po obrazach są puste, a o mistrzowskim włamaniu do muzeum kręci się filmy.

W 2019 r. w Dreźnie sześciu włamywaczy zrobiło coś, co w świecie czujników optyczno-elektronicznych było nie do zrobienia. Obrobili skarbiec królewski Zielone Sklepienie z muzeum na zamku, m.in. skradli polski Order Orła Białego z Gwiazdą. Klejnoty wracają w partiach, bo tak dogadały się władze ze schwytanymi geniuszami kradzieży wszech czasów, jak ich nazwano w Niemczech.

Niedaleko Dreżna – już po polskiej stronie – jest Jawor, a w nim muzeum regionalne. Wszedł do niego 32-letni mężczyzna, przemierzył całe i w końcu wyszedł na dach. Dopiero tam dostrzegł jedyną cenną rzecz. Dach pokryty był bowiem blachą miedzianą, którą mężczyzna sukcesywnie zrywał i zrzucił na dół. Przy tej okazji wpadł i trafił do pułki w warunkach recydywy za kradzież w muzeum oraz wcześniejsze włamanie do sklepu mięsnego, gdzie zwinął wyroby sztuki wędliniarskiej.

Ostatnie kuszenie kustosa

Władza przez ostatnie lata zbudowała dziesiątki muzeów. To, co w nich jest, nie interesuje nawet uczestników szkolnych wycieczek, o przestępcach nie wspominając. Choć nie zawsze.

Muzeum w Chranowie zgłosiło włamanie do zabytkowego pieca do wypalania wapna typu Hoffmann. Cokolwiek to jest, miało pozrywane kłódki do obu piecowych komór, w których i tak nic nie było. Całkiem inaczej niż w Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej w powiecie krośnieńskim. Tam złodzieje włamali się do pomieszczeń, w których eksponowano nie podróbki, ksera dokumentów czy inne fotki, ale prawdziwe militaria z czasów I i II wojny światowej. Zbiory etnograficzne złodziei nie interesowały. Skradziono oryginalne mundury, siedem bagnetów, klamry

pasów z niemieckiego umundurowania z napisem „Gott mit uns”, kilka hełmów oraz karabiny z czasów I wojny światowej.

Ten przypadek pokazuje, że muzealnictwo stanowi wymierną wartość, ale tylko dla fachowców. Takich jak kustosz Muzeum Okręgowego w Toruniu. Nieniepokojoyony przez nikogo, przez dziewięć lat wynosił monety z XVI–XIX w. i za pośrednictwem zaprzyjaźnionego numizmatyka zamieniał je na współczesną kasę. Ta zaś była mu potrzebna, gdy żona od niego odeszła, pozostawiając go z trójką dzieci. Gdyby nie podpieprzone 194 monety o wartości 1,46 mln zł, to progenitura kustosa nie miałaby co jeść. A tak proces w tej sprawie trwa już któryś rok z rzędu, dając pracę sędziom, adwokatom i policjantom.

Ci ostatni dziwią się tak małej liczbie muzealnych kradzieży. Ich zdaniem gdyby złodzieje byli



Rys. TOMASZ WATERS

mądrzejsi albo by im się po prostu chciało poszukać kolekcjonerów, byłiby milionerami. Dowodzi tego przykład Muzeum Narodowego w Poznaniu, z którego zniknęło 46 drewnianych XVI-wiecznych kasetonów. O tym, że je wzięło, doniósł mężczyzna sprząający pomieszczenie, do którego nikt przez poprzednich kilka miesięcy nie zajął. Oczywiście o znalezieniu choćby śladów sprawców, gdy nie wiadomo nawet, kiedy doszło do przestępstwa, nie było mowy.

W gablotach samo barachło

Policjanci zwracają też uwagę na coś innego. Na wywołaną inflacją biedę. Sięgają do statystyk pokazujących, że im biedniej w narodzie, tym bardziej rośnie liczba kradzieży i włamań do muzeów. Tak było na początku transformacji. To wtedy pierwszy raz gliniarze zetknęli się z tym, że

ludzie włamują się do muzeów tylko dlatego, że są to placówki słabo pilnowane, ale każdy wie, że nic cennego w nich nie ma – włamują się po proste fanty biurowe.

W Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku w latach 90. skradziono pięć aparatów fotograficznych, prostownik do akumulatora i oświetlacz halogenowy. Nie dziwiło nikogo, że w skoku na Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie łup stanowiły narzędzia stolarskie. A przy włamie do Muzeum Okręgowego w Chełmie zwinęto komputer i pieniądze z kasety.

Teraz – zdaniem gliniarzy – jest tak samo. Dowodzi tego sprawa sprzed kilku dni, kiedy to do jednego z muzeów w Śródmieściu Gdańska włamał się facet, który za jedyne sensowne fanty uznał laptopa, drukarkę i elektronarzędzia.

Dzięki temu spokojni o swoje zbiory mogą być właściciele Muzeum Siekier w Orzechówce, Muzeum Mydła i Historii Brudu w Bydgoszczy czy Muzeum Dobranocek PRL-u w Rzeszowie. A nawet Muzeum Guzików w Łowiczu. Ekspozycje mogą zostawiać bez ochrony w przeciwieństwie do pomieszczeń biurowych, gdzie trzymają jedyne cokolwiek warte rzeczy.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Autobusy komunikacji miejskiej oznaczone napisem „ewakuacja” przewiozły setki osób na stadion Arena Lublin z obszaru miasta zagrożonego niewybuchem z okresu II wojny światowej. Na budowie apartamentowca przy ul. Wrońskiej znaleziono niemiecką bombę lotniczą o masie 250 kg. Na czas prac saperskich mieszkani opuszcilo 14 tys. okolicznych mieszkańców. Zatem jeżeli chodzi o te reparacje wojenne, to nie jest 6,2 biliona zł. Rachunek dla Berlina wzrósł o kilka milionów oraz inflacyjną indeksację.

■ Związkowa Alternatywa domaga się podwyżki płac dla listonoszy o 50 proc. Związkowcy żądają także, aby listonosze nie byli traktowani jak akwizytorzy badziewia. Do ich obowiązków doszła bowiem domokrażna sprzedaż mydła, grzebieni i dewocjonalistów dystrybuowanych obecnie przez urzędy pocztowe. Z rezultatów są skrupulatnie rozliczani. Związki zawodowe utyskują, że Poczta Polska nie respektuje wytycznych Kaczyńskiego w sprawie wysokości płacy minimalnej, przenosząc zatrudnionych na umowy ulamkowe. Za nędzne życie pocztowców obwiniają rząd. Nie jest to zupełnie prawda w czasach e-maili i esemesów. Prawdą jest natomiast, że walkę o rynek usług kurierskich Poczta Polska na własne życzenie przegrała.

■ Burzą się również pracownicy polskiego Amazona w Świebodzinie. „Zarabiamy najmniej spośród wszystkich pracowników Amazona w Europie, wykonując taką samą pracę jak Niemcy, Anglicy, a nawet Czesi i Słowacy. W większości obsługujemy klientów z zagranicy. Mamy dość bycia tanią siłą roboczą!” – piszą związkowcy, ponieważ otrzymali podwyżkę wynoszącą 50 gr. Skoczyło im z 26 na 26,5 zł za godzinę. Ponad 200 zł dniówki – to nie jest to najgorsze, za które w Polsce się pracuje – powiedzieliby zapewne listonosze.

■ Pod znakiem Orlen działają wszystkie stacje na Litwie i Węgrzech oraz niemal wszystkie na Słowacji. A do końca roku blisko 90 proc. stacji w Czechach spod mar-

ki Benzina rozpocznie funkcjonowanie pod marką Orlen. Takoz powiedział pierwszy nafiarcz Rzeszopolitej Daniel Obajtek, chwalcąc się ekspansją plockiego koncernu. Od kogo Orlen kupuje ropę sprzedawaną na swoich stacjach, Obajtek nie powiedział.

■ Rewolucyjne zmiany w szkołach podstawowych w Wodzisławiu Śląskim. W 13 podstawówkach tydzień nauki ma trwać 4 dni, a godzina lekcyjna 40 minut! „Planujemy ograniczyć istniejący model kartkówki i sprawdzianów” – zapowiedział Mieczysław Kieca, prezydent Wodzisławia. Phi! Też mi nowość. Ja to praktykowałem już 40 lat temu. Po prostu w środy, kiedy były sprawdziany, chodziłem na wagary, a na lekcje permanentnie się spóźniałem, manifestując pogardę dla przedstawicieli korpusu pedagogicznego.

■ Dowództwo Generalne Rodzaju Sił Zbrojnych poinformowało na Twitterze, że przy okazji działań z użyciem specjalistycznego sprzętu, mającego na celu utrzymanie bezpieczeństwa przy granicy z Białorusią, zgubiono część pocisku, zwaną zapalnikiem, ale poza terenem zabudowanym. Zapalnik wypadł z helikoptera i zaginął. Że jesteśmy idiotami, Dowództwo Generalne Rodzaju Sił Zbrojnych nie poinformowało Rosjan na Twitterze, ale to się rozumie samo przez się.

■ Pacjentka przychodni w Kościerzynie (województwo pomorskie) stwierdziła, że badający ją lekarz miał 1,7 promila alkoholu w organizmie. Zawiadomiła policję. Prokurator postawił medykowi zarzut narażenia pacjentów na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Spostrzegawcza kobieta myliła się jednak o tyle, że chodziło o 1,7 promila alkoholu we krwi, której lekarz miał ok. 4 litrów w organizmie. W pozostałych sprawach niestety się nie myliła.

■ Mieszkający w Krakowie Hiszpan, jadąc na deskorolce po bulwarze Wołyńskim, na wysokości ul. Marii Konopnickiej został pogryziony przez psa umaszczenia białego, rasy dog argentyński. Hiszpan doznał poważnych obrażeń genitaliów i nogi. Z powodu krwawienia z tych pierwszych przewieziono go nawet do szpitala. Policja poszukuje kobiety w wieku ok. 25 lat, o włosach koloru brąz (rudej) sięgających do łopatek, ubranej w sukienkę koloru beżowego, będącą hipotetyczną właścicielką tego doga argentyńskiego, który rozszarpał hiszpańskie-

go penis. Znalezienie wspomnianej w terapii członka nie pomoże, choć kto wie...

■ Kobieta, która zaparkowała swojego peugeota przed supersamem w Lwówku Śląskim, zauważyła obok takiego samego peugeota jak jej własny, z identycznymi numerami rejestracyjnymi. Zachowała się jak każda kobieta, która widzi koleżankę w takiej samej sukience, takim samym futrze lub z takim samym jak jej własny mąż mężczyzną. Wpadła w szal. Zawiadomiła policję. Ta ustaliła, że bliźniaczy peugeot był prawdziwy, ale tablice rejestracyjne już nie. Właściciel się tłumaczył, że kupił takie same kolekcjonerskie tablice rejestracyjne, aby zaoszczędzić na ubezpieczeniu pojazdu. W sumie niezły pomysł, gdyby nie to, że kobiety są chorobliwie spostrzegawcze i absurdalnie zawistne.

■ Pod mostem kolejowym w Poroninie w górskim potoku kąpał się nago biali mężczyźni. „Mieli na głowach mycki i pejsy” – powiedział świadek incydentu. „Trochę godności i szacunku. Dzieci to mogą zobaczyć” – pomyślał i wezwał gliny. Ci przybyli na miejsce za późno. Żydów z wody już gdzieś wymiotło.

■ „Policjant prowadził pieszy pościg za mężczyzną podejrzanym o przestępstwo. Uciekający wskoczył do rzeki Kłodawki, więc funkcjonariusz ruszył za nim. W trakcie obezwładniania uciekającego w wodzie z kabury wypadła służbowa broń” – powiedział kom. Grzegorz Jaroszewicz, rzecznik prasowy Komendy Miejskiej w Gorzowie. Poszukiwania broni zlecono miejscowej straży pożarnej. Po trzech godzinach spluwę odnaleziono.

■ Z mieszkania na czwartym piętrze kamienicy przy ul. Podgórnjej w Poznaniu wyrzucono szczeniaka. Pies nie przeżył zderzenia z trotuarem. Właścicielka utrzymuje, że nie pamięta, aby miała psa. Uważa, że posiadała kota. Stoi na stanowisku, że nie można więc postawić jej zarzutów o znęcanie się nad zwierzętami. Kotu spadającemu z takiej wysokości nic by się przecież nie stało.

■ 86-latek jadący pod prąd autostradą A4 samochodem marki audi na wysokości Pawłowskiej zderzył się z czołową z prawidłowo jadącym hyundaem, którym kierował 42-letni mieszkaniec Rzeszowa. 86-latek został lekko ranny. O połowę młodszy kierowca hyundaia zginął na miejscu. Starszy pan tłumaczył, że pomylił zjazd z autostrady z wjazdem. Dlategojechał przeciwnie do kierunku ruchu. Jakiz przyniętający dowód, że świat jest okrutny i antysprawiedliwy.

■ Będzin świętuje 665. urodziny. W sierpniu 1358 r. król Kazimierz Wielki nadał miastu przywilej lokacyjny. Zarazem jednak rozpoczął się właśnie 666. rok istnienia miasta, o czym władze lokalne milczą. Co więcej, ustaliliśmy, że w przyszłorocznym sierpniu obchodzone będzie rozpoczęcie 667. roku istnienia Będzina. Wszystko dlatego, aby z powodu piekielnej liczby składającej się z trzech szóstek uniknąć polityczno-religijnej awantury.

R.J.

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej. Chcielibyśmy, aby przynajmniej niektóre były nieprawdziwe. Obawiamy się jednak, że są prawdziwe.

Przychodzi w życiu każdego mężczyzny taki czas, kiedy trzeba coś skleić. To przecież proste. Pierwsza praktyczno-techniczna czynność, której uczą już w przedszkolu. Bierze się dwie kartki papieru. Maże mazidłem. Mocno ściska i czeka. Potem kartki są nie do rozerwania. U mnie było trochę inaczej.

Szwedzi dzielą się na dwa rodzaje

Moja matka pytała, jaki syn ma samochód, mówi, że... biały. Nie można mieć gorszej matki. W gruncie rzeczy chodzi jej przecież o Volvo 945 Wagon z sześciocylindrowym dieselmotorem od audi, ustawionym wzdłużnie, turbodoładowanym, bez żadnych pompowtryskiwaczy, z klasyczną pompą paliwa napędzaną paskiem zębatym. Bez żadnych chujowych mikroprocesorów, mrożącej krew w żyłach klimy oraz zniewieściałego katalizatora. Wlewasz zużyty olej z frytkownicy do baku. Dodajesz denaturatu. I jedziesz. Jesteś husarzem szosy. Z przodu stado krów. Dodajesz gazu i włączasz wycieraczki. Z tyłu chmura czarnego dymu. Wrony spadają zagazowane w locie. Włączasz wycieraczkę tylnej szyby i... franca nie działa. Ani drgnie. A przecież musi się po szybie przesuwac! To jest absolutnie niedopuszczalne, aby w kombi nie działała tylna wycieraczka!

Trzeba zatem stanąć na dwa tygodnie w garażu. Wziąć się do roboty. Może się okazać, że nie wycieraczka, tylko napędzający ją silniczek albo popychające ją ramię lub drucik przegnił i prąd nie dochodzi.

Aby wszystko sprawdzić, należy zdemontować tapicerowaną pokrywę drzwi tylnych.

Szwedzi dzielą się na dwa rodzaje: tych, którzy pracują w Ikea, i tych, których do pracy w Ikea nie przyjęli. Ostatnich zatrudnili w Volvo przy projektowaniu elementów osłonowych wnętrza samochodów. Inżynierowie od Ikea są mądrzy, więc wiedzą, że ich klienci są głupi. Każdy z 3 tys. zaprojektowanych przez nich mebli da się złożyć za pomocą śrubokręta i jednego sześciokątnego bity wustowego, który jest w zestawie.

Inaczej jest z tymi od Volvo. Inżynieriny surrealizmu. Żeby naprawić światelko cofania, trzeba zdemontować skrzynię biegów. Demontaż nadbiegu wymaga „narzędzia specjalnego numer 143 h”, które prawie niczym nie różni się od zwykłego klucza francuskiego, z tym że kosztuje, jakby było wykonane z platyny. Wybitne zdolności komplikowania najprostszyc rzeczy ponad miarę powodują, że jeżeli kupujesz używane volvo, zawsze coś jest w nim urwane, naprawione drutem wiązałkowym lub gumą do żucia. Wiem, co piszę. Mam już piąte takie auto.

Za krótki jestem na umyśle, aby po prostu zdemontować pokrywę klapy tylnej w volvo, a zatem musowo ją wyrwam. Naprawa niedziałającej wycieraczki jest zasadniczo prosta, jeżeli posiadasz obrabiarkę sterowaną numerycznie, palnik gazowy oraz zgrzewarkę punktową, którą w obecnych czasach posiada przecież każdy. Po 16 roboczo-godzinach działa.

Mamut po 72 godzinach ścisku

Natomiast nie można przecież wyobrazić sobie jazdy bez tapicerki na drzwiach bagażnika. Oglądam, co popsulem. Urwały się trzy zaczepy o kształcie podkładki fi 15! Ale gdyby w tym miejscu przykleić metalowy element, od biedy dałoby się jeździć.

Tylko czym przykleić? To proste! W Google Search wpisujesz „klej do metalu”. Wyrzuca ci Mamut Glue firmy Bostik z Poznania: „klei wszystko i trzyma natychmiast”. Mamut Glue do mojego prehistorycznego auta pasuje jak nic innego.

Tekst zakręcony jak tuba.

Metafizyka odklejenia



rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

W sklepie Leroy Merlin Mamut Glue w tubach jest dostępny. Wali po oczach etykietą szczerzotą. Trochę drogi, ale wystawiona jest próbka demonstracyjna. Kawałek ceramiki scalony z inną ceramiką, a ta jeszcze z jakimś tworzywem. Trochę by tego nie rozerwał. Tego właśnie potrzebuje moje volvo.

W pomieszczeniu warsztatowym matowię powierzchnie plastikowe i metalowe podkładki, które będą lepsze niż te plastikowe zaczepy wymyślone w kraju kondomów Durexa. Nakładam klej Mamut. Ściskam ściśkiem stolarskim. Wracam po 24 godzinach. Nic się nie stało. Potem był piątek, ale już w poniedziałek nadal dużo się nie stało (72 godziny). Lepszą przyczepność uzyskałbym, zaginając chleb. Pora dobyć miecza.

Popsuta wycieraczka, urwana pokrywa drzwi, a jeszcze ten klej, co nie klei! Zadzwoń do producenta, aby przerwać tę farsę, złać fatalną pasę, skopać niepomysłne fatum.

Ciekawe, co powiedzą. Że było za zimno, za wilgotno, za jasno, produkt jest przeterminowa-

ny, że nie umiem kleić? Z magazynkiem nabitym sarkazmami dzwonię na infolinię. Specjalista mówi, że to się nie zdarza, a on mi zaraz przysle nowy klej, skoro ja jestem z tego starego niezadowolony, tylko żebym podał adres. No nie! Nie tak to sobie wyobrażałem.

Proponuję zatem, że odeślę stary klej, który nie klei i zachowuję się, jakby był akrylem za 5 zł, a nie Mamutem za 40. „Skoro, jak pan przy okazji będzie na pocztce i zada sobie tyle trudu, przesyłam panu już dwa kleje” – informuje specjalista.

Dwie tuby zupełnie nieużywane

Cóż. Piszę list, że tu nie chodzi o jakieś moje osobiste żale (choć oczywiście chodzi), ale o publiczne dobro, bo jakże nieukontentowane mogą być setki klientów, które kupią nieklejący klej dostępny zawsze i wszędzie, oraz ludzie, którzy ze sprzedaży tego kleju żyją. Ci w rezultacie utraty prestiżu klejenia postradają samoszacunek, a może

nawet środki do życia. Pierwszy raz w nowożytności wysłałam list z tubą kleju via Poczta Polska.

Oczywiście problem niejeżdżącego volvo pozostał. Niezmierzona mądrość internetu podsuwa inne rozwiązanie. Elementy plastikowe się obecnie spawa. Przyzwoite warsztaty blacharskie robią takie rzeczy na poczekaniu, więc się tam udaję. W warsztacie okazuje się, że jest to całkiem wykonalne.

Mam już pospawaną pokrywę drzwi tylnych. Idę posprzątać do warsztatu, który mój tatuś urządził według wytycznych Adama Słodowego. Ścierając podłogę, zauważam, że odrobina tego kleju Mamut spadła na ziemię. Co gorsza, jest twarda jak plomba dentystyczna.

Rozumiecie?! Napisałem facetowi w Poznaniu, że jego klej nie klei, a tymczasem jest inaczej.

To jest trochę tak, jak

piszesz, że polityk ma w sobie bardzo wiele z owcy płci męskiej, widziano go w towarzystwie kobiet z pawimi piórami w tyłkach oraz że świnię karmi kawio-rem. Nic. Spływa po nim jak po kaczkce.

Ale napisz nieprawdę. Że przejechał ciężarówką na pasach, kiedy on w ogóle nie siedział nigdy za kierownicą. Ooo! Jaki on wtedy jest pomówiony, zniesławiony, z naruszonymi dobrami osobistymi. Spotykasz wtedy tych panów o umysłowościach amiszów w krochmalonych kołnierzykach, którzy chcą od ciebie tyle, że musiałbyś oddać dzieci w niewolę. Nie rozumieją, o co chodzi. Szanujący się mąż stanu, kiedy przeczytał o sobie, że przejechał, choć nie przejechał, powinien zrobić prawo jazdy i przejechać, skoro ja napisałem, że przejechał. Wolność prasy i swoboda wypowiedzi są wszak ważniejsze od jakiegos bylego lub niebyłego przejechania.

Ale myślę, że tym razem tak być nie musi. Ta myśl pojawia się dokładnie w chwili, kiedy słyszę dzwonek. Za drzwiami stoi kurier z paczką od firmy Bostik zatytułowaną „Szanowny Panie”. To niby o mnie. Wewnątrz, jak się okazuje, są dwie tuby kleju Mamut Glue – zupełnie nieużywane.

Znowu w życiu się nie klei

No, nie jest dobrze. Zaczynam się zastanawiać. Dlaczego miał zaschnąć, a nie zaschnąć? W każdym razie stwardniał spóźniony. Może było za wilgotno, za zimno, za jasno albo za ciemno albo po prostu nie umiem kleić? No nie wiem. Głęboka kwerenda internetu ujawnia, że Mamut Glue nie klei polietylenu, polipropylenu, teflonu i gumy. Nie mam pojęcia, z czego Szwedzi robią te volvo, ale może właśnie z tego.

Jeszcze się nie martwię, kiedy dostaję tego maila od pana dyrektora z Bostika, który potwierdza, że dostał mój list z klejem. Jednak nie wie, dlaczego mi nie zaschnął. Zrobili próbę poligonową. Jest tak, jak należy. Klej z wysłanego przeze mnie kartusza zasycha jak w instrukcji i on mi ten kartusz odsyła. „No, nie, nie, nie trzeba” – odpisuję. Sytuacja jest dla mnie hanbiącą w całym tego słowa rozumieniu. Nie usłuchali. Paczka nadchodzi, a w niej tuba i co z niej wyciśnięte, zaschnięte jak wulkaniczna lawa.

Tak sobie myślę, że być może są takie kleje, do których Mamut należy, które kleją prawie wszystko, a moja porażka wynika zupełnie z czego innego. Są po prostu ludzie, którym nic się w życiu nie klei, a ja z pewnością do nich należę. Żadna inżynieria przyczepności materiałowej nic na to nie poradzi, bo musiałyby się zmierzyć z metafizyką, która nie wiadomo, jak działa.

Może znacie tę historyjkę z powstania warszawskiego? Do salonu jednej z willi na Żoliborzu Oficerskim przy placu Słonecznym wpadł pocisk karabinowy. Przeszył szafę na wylot. Wszedł drzwiami. Wyszedł przez plecy. Utkwił w ścianie. Domownicy otworzyli szafę, aby oszacować szkody. Wewnątrz na drodze pocisku było ogromne lustro. Pozostało całe.

W każdym razie daję słowo honoru: Mamut Glue firmy Bostik to najlepszy klej na świecie. Mam jedną tubę w nadmiarze, więc na zbyciu. Temu, kto pierwszy napisze, że potrzebuje, wysłę promocyjnie darmo. Adres w stopce redakcyjnej.

ROBERT JARUGA



rys. OBYWATEL JANEK

Siwy włos w kieliszku

Mam jeszcze w oczach dzień, gdy pierwszy raz ujrzałem ciebie.

Teraz w kampanii wyborczej tyle się słyszy o konieczności wsłuchiwanie się w głos suwerena, że i ja nie mogę być na niego głuchy. O ile dla polityków suwerenem są ich potencjalni wyborcy, z angielska zwani targetem, o tyle dla dziennikarza suwerenem są jego Czytelnicy. Oczywiście dostają od nich maile (papierowe listy prawie nigdy, zmieniły się czasy), które zawsze czytam z uwagą. Bardzo często piszą do mnie Czytelnicy, którzy osiągnęli – podobnie jak ja – wiek 70+.

Czym mogę zadowolić mojego suwerena? Piszę na różne sportowe tematy, mniej lub bardziej aktualne. Od czasu do czasu wracam do lat, gdy byłem młody. Zdradzam szczegóły z życia ówczesnych sportowców, ale także opisuję pracę w redakcjach i przybliżam sylwetki dziennikarzy, dziś już często nieżyjących.

Okazuje się, że target 70+ lubi takie teksty i chciałby ich czytać więcej. Przynamniej tak wynika z mojej poczty w skrzynce mailowej. Dla starszych Czytelników to szansa na powspomnienie czasów ich młodości, dla młodszych – ciekawostki, o których nie mieli pojęcia, bo sport, podobnie jak cały świat, przez te lata niesamowicie się zmienił.

Chciałem teraz pisać o sukcesie Bartosza Zmarzlika, który wygrał żużlowe Grand Prix Łotwy i jest już bardzo blisko zdobycia tytułu mistrza świata po raz czwarty. Skomentowania wymaga chyba także porażka zmęczonej Igi Świątek w półfinale tenisowego turnieju w Montrealu. Rozpoczął się kolejny futbolowy sezon. Wszystkie te tematy muszą zacheć, bo głos zabiera suweren.

Odzyskany wzrok

Pan Leszek z Zawiercia (boję się ujawnić pełne dane w obawie o naruszenie rozporządzenia RODO, zawsze proszę Czytelników o jasne wyrażanie zgody na podanie imienia i nazwiska) chciałby, żebym napisał o wywodzącym się z Kluczborka Jerzym Grodku, mistrzu Polski w judo, czołowym kulturyście i lekkoatlecie z lat 50. i 60. minionego wieku, a później szkoleniowcu. Jerzy Grodek był trenerem żony mojego korespondenta i dzięki niemu osiągnęła wartościowe rezultaty w rzucie dyskiem. W ogóle wychował liczne grono niezłych lekkoatletów, m.in. przyszłą rekordzistkę Polski w rzucie oszczepem Felicję Kinder.

W pewnym momencie urwał się kontakt pana Leszka z Jerzym Grodkiem, jak się okazało, nieprzypadkowo. Trener stracił wzrok i zaczął pracować jako fizjoterapeuta. Jakimś cudem (mój korespondent nie wie jakim) wzrok odzyskał i w tym roku państwo Leszkowie spotkali się z 85-letnim trenerem Grodkiem na okolicznościowej imprezie wychowanek i wychowanków klubów KKS i Metal Kluczbork oraz ich szkoleniowców. Były miejscowe władze, sportowcy, wśród nich Felicja Kinder, sympatycy. Jak przypuszczam, musiało być fajnie, bo wszyscy umówili się na kolejne spotkanie za pięć lat.

Po co pan Leszek napisał do mnie? Chodzi mu o to, żeby nie zapominać o skromnym trenerze z Kluczborka. Życzenie niebezpieczne, bo w pamięci zacierają się postaci, zwłaszcza nie te z głównego nurtu. Choć siedzę w sporcie od wielu lat, nigdy wcześniej nie słyszałem o trenerze Jerzym Grodku. Pamiętam nazwisko mojego pierw-

szego trenera piłki ręcznej, ale imienia już nie; nic dziwnego, po imieniu nigdy do niego nie mówiliśmy. Dobrze pamiętam za to, jak ganiał nas za paleniami papierosów. Wiem również, że sam zmarł młodo na raka płuc...

Cudze dziecko

Pan Leszek na wstępie swojego listu stwierdził z zadowoleniem, że w jednym z wcześniejszych tekstów wspominałem red. Bogdana Bańkę z „Przeglądu Sportowego” rodem z Zawiercia, krajana i kuzyna pana Leszka. Obaj jesteśmy zgodni, że był wybitnym znawcą futbolu, pan Leszek dowiódł ode mnie teraz, że sam Bogdan świetnie grał w piłkę i był podparą naszej amatorskiej dziennikarskiej drużyny FC Publikator. Zmarł bardzo młodo, w wieku zaledwie 52 lat, na chorobę, którą mój korespondent elegancko nazwał zawodową chorobą dziennikarską. Cóż, nieraz opisywałem na tych łamach przeróżne alkoholowe wyczyny moich kolegów po fachu i swoje.

O Bogdanie też mogę opowiedzieć co nieco. W czasach nazwanych słusnie minionymi panowała w wielu dziedzinach wolność, o której nie marzą nawet dzisiejsi ortodoksyjni liberałowie: RODO oczywiście nie istniało, nikt nie zabraniał publiczności wchodzić za teatralne kulisy, w przedszkolach nie było kamer i nie sprawdzano uważnie, kto odbiera dziecko, wychodząc z założenia, że każde trafi do swoich. Ufano ludziom.



Do Bogdana zadzwoniła kiedyś do redakcji żona, że musi zostać dłużej w pracy i żeby on odebrał syna z przedszkola. Pech chciał, że akurat w „Przeglądzie Sportowym” trwała jakaś uroczystość, w której mąż aktywnie uczestniczył. Nawiasem mówiąc, takie uroczystości odbywały się niemal codziennie. Nietrudno się domyślić, że Bogdan przyprowadził do domu nie swojego chłopaka.

„I co?” – dopytywaliśmy. „Tak zwyczajnie poszło z tobą obce dziecko?”. „Trochę się opierał, ale jak dostał kopa w dupę, to grzecznie poszedł” – padła odpowiedź. Już pominię sceny, jakie działy się w przedszkolu, gdy żona

Bogdana odprowadziła uprowadzone dziecko: radość jego rodziców, płacz porzuconego syna, wściekłość przedszkolanki, która musiała zostać w pracy po godzinach. Czasy PRL były tak dobrotliwe dla obywateli, że oczywiście nikt nie wyciągał poważnych konsekwencji z powodu, że nietrzeźwy tatuś zabrał z przedszkola nie swoje dziecko. Przecież wróciło do rodziny. Nic się nie stało.

Na dzikim brzegu

W innej przygodzie z Bogdanem w roli głównej miałem zaszczyt uczestniczyć osobiście jako stażysta „Przeglądu Sportowego”. Na moim biurku zadzwonił telefon. „Chce mówić z konewką” – usłyszałem głos z charakterystycznym warszawskim gubieniem nosowych samogłosek i akcentem. Młody umysł prędko kojarzy: „Konewko? Czy chodzi panu o redaktora Bańkę?” – zapytałem. „Może być Bańka” – usłyszałem w słuchawce, więc zawałęsam do telefonu kolegę z sąsiedniego pokoju.

Okazało się, że poprzedniego dnia Bogdan przypadkowo spotkał się na Pradze, słynnej z przestępczości prawobrzeżnej dzielnicy Warszawy, z jakimś przedwojennym złodziejem. Wspólne zamięłowanie do piłki zaprowadziło ich do jednej z setek melin na ulicy Brzeskiej (milicja ze strachu nigdy tam nie wchodziła). Kiedy przyszło do płace-



przy dzisiejszej biurokracji. Szczęśliwie nieznane jeszcze były karty kredytowe, a paszportów nie nosiło się przy sobie, bo spoczywały w sejfach MSW. Byłoby trudniej.

Falszywa depesza

Bogdan nie był jakimś wyjątkiem. Dziennikarzy sportowych zaglądających do kieliszka było więcej niż abstynentów, których można było policzyć na palcach jednej ręki. Dlatego napiszę teraz o trochę młodszym ode mnie Andrzeju Karczewskim z Polskiej Agencji Prasowej. On nie powąchał nawet piwa. Przyczyna była oczywiście. Przez cały rok niesamowicie dbał o kondycję. Raz w roku wyjeżdżał na urlop do Austrii, gdzie zatrudniał się jako sparingpartner dla bogatych kapitalistów, którzy mieli ochotę pograć sobie w tenisa. Andrzej był znakomitym tenisistą i potrafił dostosować poziom gry do umiejętności partnera. Zadowolone były i grubasy, którym zależało na zrzuconiu na korcie kilogramów, i tenisiści bliscy zawodowych umiejętności. Stawki Andrzeja mogły być na tyle wysokie, że po wymianie szylingów na złotówki przez miesiąc zarabiał więcej niż przez 11 miesięcy pisania papowskich depesz.

Jedną z dyscyplin, które obsługiwał Andrzej, było narciarstwo klasyczne. Podczas mistrzostw świata w Zakopanem po konkursie skoków zebrał się w biurze prasowym przy suto zastawionym szkłem stoliku doborowe towarzystwo. Prym wiodł mój dziennikarski mentor Lech Cergowski z „Przeglądu Sportowego”. Andrzej Karczewski poszedł natomiast do swojego pokoju, żeby się wyspać przed następnym dniem. Leszek zawyrokował, że tak być nie może, żeby koledzy męczyli się przy pełnych kieliszkach, a ktoś w tym czasie wylegiwał się w łóżku. Wystukał więc na dalekopisie oczywiście nieprawdziwą wiadomość, że srebrny medalista decyzją sędziowska został zdyskwalifikowany. Dzięki temu Polak zdobył brązowy medal. Wręczył napiwek portierowi i poprosił, żeby zaniósł fałszywkę do pokoju Andrzeja.

Dziennikarz PAP wyskoczył z łóżka, żeby jak najprędzej wysłać wiadomość do centrali, a w biurze prasowym czekali już ze śmiechem koledzy i zaprosili go do stołu. Andrzeja się nie

gniewał, śmiał się z innymi, ale zasad nie złamał, poczęstunku odmówił. Leszek Cergowski popełnił jednak błąd. Na dalekopisie zostawił kopię fałszywej depeszy. Zobaczył ją przechodzący obok dziennikarz „Sowietskiego Sportu” i aż poskoczył z radości. Teraz to radziecki skoczek, wcześniej czwarty, zdobył brązowy medal! Wysłał do redakcji pilną wiadomość, której ze względu na różnicę czasu już nie udało mu się sprostować.

Major Bąk

Po raz ostatni spotkałem Andrzeja w 2013 r. na pogrzebie Adama Molaka z działu sportowego „Expressu Wieczornego”, przekształconego później w „Super Express”. Adama nazywaliśmy Majorem Bakiem. Wszyscy w środowisku używali tej ksywki, ale mało kto wiedział, że zawdzięcza ją Andrzejowi Karczewskiemu. Razem obsługiwaliśmy kolejny kolarski Wyścig dookoła Polski. Na którymś z etapów Adaś Molak przesadził przy śniadaniu z leczeniem kaca po wieczornym bankiecie. W drodze na start wyścigu zasnął w samochodzie, co nie było budujące dla osób postronnych, a mnóstwo widzów gromadziło się przy ulicy. Postanowiliśmy dla niepoznaki nałożyć koledze ciemne okulary i już wyglądało to lepiej.

W pewnym momencie nasz wóz prasowy zatrzymał milicjant, informując, że tędy jechać nie wolno. Andrzej Karczewski długo się zastanawiał. Wyskoczył z samochodu i zawołał do szeregowego milicjanta: „Proszę natychmiast nas przepuścić! Wieziemy majora Baka z Komendy Głównej” – i pokazał ręką na schowanego za ciemnymi okularami Adama. Milicjant zasalutował i rozpedził ludzi, żeby zrobić nam drogę. Gdy Molak się obudził, miał już nową ksywkę Major Bąk, która nie opuściła go do śmierci. O ile pamiętam, znalazła się nawet w nekrologu, zamieszczonym w „Super Expressie”.

Ktoś zapytał, dlaczego opisuję alkoholowe wysoki Bogdana Bańki i innych kolegów? Czyżbym ja całe życie był abstynentem i jakimś cudem ominęła mnie zawodowa choroba dziennikarska? Nic podobnego. Po prostu o swoich wycieczkach w tej dziedzinie wielokrotnie już pisałem i nie chcę się powtarzać. Powtarzanie się jest niestety także zawodową chorobą dziennikarską. We współczesnych czasach bardzo powszechną.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
 Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Izabela Szolc, Agnieszka Wolk-Laniewska.
 Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
 tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
 tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.
DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
 Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰. (koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 16.08.2023 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Król Itaki Macierewicz spojrział na dwanaście statków pełnych trojańskich kosztowności i z tęsknotą pomyślał o Penelopie Kaczyńskim.

– Penelopie, Penelopie, płynę do ciebie ze skarbami i gotowością pobicia zalotników, zwłaszcza bezczelnego Błaszczaka, który zajął moje miejsce! – zawołał Macierewicz. – O słodka zemsto, prowadź mnie przez odmęty!

Droga na Itakę łatwa nie była. Wylądowawszy na ziemi cyklopów, Macierewicz musiał zmierzyć się z jednym z nich – Polifemem Hołownią, któremu wydawało się, że żywcem pożera ludzi, gdy tymczasem jedynym połkniętym przez niego człowiekiem był Kamysz. Nieustraszonego Macierewicza oślepił Hołownię, a swoim ludziom kazał płynąć dalej.

Aż dopłynęli na wyspę władaną przez czarodziejkę Szydło, która Macierewiczowych towarzyszy zmieniła w wieprze. Króla Itaki zmienić nie zdołała, co wpędziło czarodziejkę w taką rozpacz, że zdjęła czar z przybyszów i zaprosiła ich do zastawionego stołu. Macierewicza zaprosiła także do łoża, ale nie skorzystał, gdyż był wierny Penelopie Kaczyńskiemu.

Nie uległ również syrenom, które oprócz darmowego seksu oferowały żeglarzom choroby laryngologiczne.

Róża wiatrów zawiodła statki Macierewicza między dwa potwory: Scyllę Paktu Północnoatlantyckiego i Charybde Unii Europejskiej. Dwie te bestie chciały zetrzeć króla Itaki w proch, zarzucając mu niekompetencję i obłąd.

Zdziesiątkowana załoga Macierewicza dotarła na wyspę należącą do nimfy Kalipso. I znów ta sama gra! Nimfa uwodziła pogromcę Hołowni, a zakochany w Penelopie pogromca Hołowni uwieść się nie dawał.

– A może ty jesteś nieheteronormatywny? – Kalipso rzuciła straszliwe podejrzenie.

To, jak na tę kalumnię odpowiadał Macierewicz, na zawsze pozostanie jego tajemnicą.

Wreszcie na widnokręgu ukazała się Itaka. Puk, puk, puk – zapukało serce Macierewicza. Odpowiedziały mu cichutkie uderzenia serca Penelopa Kaczyńskiego, zniewolonego przez Błaszczaka oraz nieznosny ból kolana.

Przebiegły Błaszczak urządził defiladę i konkurs: kto jedną strzałą z łuku trafi w lufy dwunastu koreańskich czołgów, temu Penelop odda swą rękę.

Było konkurentów wielu, ale żaden z nich nie śmiał strzelać przy Jankielu, to znaczy przy Macierewiczu. Ujął on bowiem łuk w swe mocarne dłonie, napiął cięciwę...

– Jak Pan Bóg dopuści, to i z łuku wypuści – pomodlił się Penelop.

Macierewicz strzelił, a strzała poleciała tam, gdzie miała polecieć. Penelop zadrzał z podniecenia.

– Konkurs nieważny, odyseja Macierewicza nieważna! – zakrzyknął Błaszczak. – To tylko mitologia. A Macierewicz pozostanie tam, gdzie był ukrywany do tej pory: w szafie!

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
pławi się w chwale mrocznej siewczyny Putina.
GOŚKA DANISZEWSKA
nie wie, czy powinna z nią rozmawiać.

Wołk-Łaniewska: – Czytałaś?
Daniszewska: – Ale co?

– Oj, to znaczy, że nie czytałaś. Bobys wiedziała...
– Co niby?

– Że miałam jedynekę w „Wyborczej”. Oczywiście nie sama, występowałam w kółku z 12 innymi siewcami, w tym Macierewiczem, Braunem i Bosakiem...
– No to gratuluję ci towarzystwa.

– Dziękuję.
– Ale jakimi, do kurwy nędzy, siewcami?

– Mrocznymi. Taki tytuł poważna opiniotwórcza gazeta dała do tego tekstu: „Mroczni siewcy Putina. Sprawdzamy, komu w Polsce mieszają w głowie”. Autorzy, niech imiona ich będą zapamiętane, to redaktor Piotr Głuchowski i redaktorka Katarzyna Bielecka.
– I komu mieszasz?

– No, tego akurat nie napisali, ale zakładam, że tobie...

– Ojejku, to o mnie też pisali?

– Przykro mi, Małgosiu, ale nie.
– No to o co chodzi?

– „Gazecie Wyborczej”? Tak szczerze mówiąc, to ni cholery nie wiem. Autorom to rozumiem, o wierszówkę, sama nie jeden tekst ze swoich starych kawałków wysmażyłam metodą kopiuj-wklej, oryginalność oryginalnością, ale żyć trzeba... Natomiast czemu organ Michnika te popłuczyny drukuje w tak potężnej objętości – 30 stron maszynopisu – to jako żywo nie potrafię zgadnąć.

– No dobra, to już się pochwal. Co jest o tobie na 30 kartkach w „GW”?

– No właśnie prawie nic. Że znam się ze Swiridowem i byłam z nim w Czeczenii oraz w Soczi.

– To nawet ja wiem, bo mi opowiadałaś w „Dialogach”...

– Małgosiu, ja przed tobą nie mam żadnych tajemnic. Podobnie jak przed pięćmioma tysiącami moich znajomych na Facebooku, gdzie wieszałam zdjęcia z tych wyjazdów. I jeszcze zacytowali trzy zdania

z mojego tekstu na temat rosyjskich wyborów w 2021 r., gdzie pisałam między innymi o spotkaniu z Zacharową. Uwaga, cytuję „Gazetę Wyborczą”: „Jest to kobieta absolutnie fascynująca – pisała po spotkaniu Wołk-Łaniewska. – Wśród różnych rzeczy, które nam powiedziała, poczesne miejsce zajmowały deklaracje w najwyższym stopniu konserwatywne. Do tego stopnia, że kolega z endeckiej ‘Myśli Polskiej’ nie próbował nawet ukryć zachwyty»”.

– No i?

– I rzeczywiście tak napisałam, ale zdanie brzmiało: „Jest to kobieta absolutnie fascynująca ze względu na oryginalną w dyplomacji szczerość. Wśród różnych rzeczy, które nam z tą szczerością powiedziała...” – i dalej jak w „GW”. Doskonale rozumiem, że to nie inteligencja zapewniła autorom tego tekstu zatrudnienie w organie Adama Michnika, ale chyba nawet dziennikarz „Wyborczej” jest w stanie odróżnić ironię od szczerzego komplementu? To nie była nadmiernie cienka ironia...

– Najwyraźniej nie jest w stanie. Ale nie zmieniaj tematu: co tam jeszcze o tobie było, mroczny siewco?

– No właśnie nic. Zupełnie. Ani słoweczka. Co oznacza, że nie byli w stanie znaleźć

ani jednego mojego cytatu, który byłby kompromitujący. Sorry, dzieci, inteligentne dziennikarstwo polega na niepisaniu głupich rzeczy. Mogę wam zrobić krótkie szkolenie za niewielką opłatą, choć nie sądzę, żeby pomogło... Ale abstrahując od poziomu tego tekstu: pojawiło się tam zdanie, które uważam za szczerze szkodliwe. Cytuję...

– Skoro już musisz.

– Muszę, bo to ważne. Niejaki Rzeczkowski – też dziennikarz, choć w tym akurat tekście występujący jako ekspert – wygłasza taki oto monolog: „Ludzie z tego całego ruchu antywojennego są bardzo niebezpieczni, ponieważ robią to, na czym Rosji najbardziej zależy: dezintegrują społeczeństwo, wprowadzają niepewność co do sensu dalszego wspierania Ukrainy”... To skądinąd komplement nieco na wyrost – jako żywo „ruch antywojenny” w Polsce nie ma takich zasięgów, żeby „dezintegrować społeczeństwo”, a wkurwienie na Ukraińców jest powszechne i bynajmniej nie płynie z pozycji pacyfistycznych... Ale fakt, że żyjemy w kraju, gdzie „pokój” stał się słowem nieprzyzwoitym, a podważanie sensu przedłużania wojny jest działaniem „niebezpiecznym” – sprawia, że mam ochotę emigrować.

– Do Rosji?

– Do Czech, oczywiście.
– A czemu oczywiście?

– Bo zawsze chciałam być Czeszką. Oni mają taki cudowny dystans do wszystkiego. – I są w czołówce najbardziej ateistycznych krajów świata.

– To też. A poza tym tam w proteście przeciwko zaangażowaniu Czech w wojnę wychodzi na ulice kilkadziesiąt tysięcy ludzi. A jak u nas kilkanaście osób wyraża wątpliwość, to linczują je na pierwszych stronach gazet. Jak by to ująć: inny gatunek demokracji. Taki mniej zmilitaryzowany... Co mnie przywodzi do parady 15 sierpnia, którą się podniecały po równo TVN i TVP. – Nie widziałam.

– Ja tylko w migawkach. Dużo czołgów z lufami w stanie erekcji i ułani na koniach. – Z amazonką na czele? Tę, co znalazła rakietę pod Bydgoszczą? Mówiłaś, że będzie...

– Mówiłam, że powinna być. Ale władza mnie nie posłuchała. I do tego wytknięto mi, że pomysł był niepełny. Nie napisałyśmy, kto powinien prowadzić tę defiladę. – No i kto?

– Pojawił się pomysł, żeby Kaczyński na Błaszczaku...
– Bardzo bezpiecznie, Błaszczak nie jest narowisty.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 261



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI